

2
ZA MORZE!

SZKICE

Z WYCIECZKI DO BRAZYLI

PRZEZ

Dra JÓZEFA SIEMIRADZKIEGO.



WE LWOWIE

I. ZWIĄZKOWA DRUKARNIA WE LWOWIE.

1894.

PROLETARSKIE
MUZEUM ETNOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Inw. Nr. K.1059.

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

SZKICE

Z WYCECZKI DO KRAZYLI

FRAN

Dra JOZEF MIERZWIŃSKI

WILNO

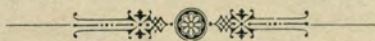
ZA MORZE!

SZKICE

Z WYCIECZKI DO BRAZYLI

PRZEZ

Dra JÓZEFA SIEMIRADZKIEGO.



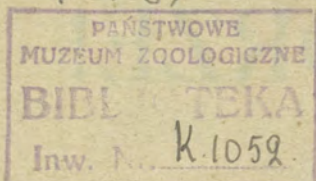
Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WE LWOWIE

I. ZWIĄZKOWA DRUKARNIA WE LWOWIE.

1894.

4418A



Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 1052



1000000000341

Z KSIĘGOZBIORU
D^{ca} WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

ROZDZIAŁ I.

Cel wyprawy. Odjazd z Europy. Lizbona. Czarny królik Dakaru.
Murzyńskie miasto. Nieudane próby fotografii. Typy uliczne.

Trzeci rok mija od czasu, gdy opinja publiczna, zaledwie odetchnawszy po procesie Wadowickim, który wykazał straszliwe nadużycia i zdzierstwa, jakich lud nasz pada ofiarą ze strony werbowników zamorskiej emigracji, została ponownie wstrząśniętą do głębi nagłym, gorączkowym ruchem wychodzącym włościan naszych do Brazylii. Żadne perswazje, nawet kordony wojskowe, wystawione na granicy i utrudnienia paszportowe, czynione przez rząd niemiecki, nie były w stanie powstrzymać tego tłumnego wychodźstwa, grożącego wyludnieniem kilku nadgranicznych powiatów Królestwa Polskiego. Na domiar złego nie wiedzieliśmy nic zgoła ani o Brazylii samej, ani o tajnych sprężynach tego ruchu. Trudno było przeto zapobiegać złemu, którego źródłaśmy nie znali a w części umyślnie wiedzieć nie chcieli, a jeszcze trudniej pouczać prostaczków o kraju, który nam, inteligencji, był znanym ze szkolnych podręczników geografii: kraju, wielkim jak cała Europa — który, w określeniach dziennikarskich zwłaszcza, pragnięto wcisnąć w ramki następujące: Amazonka, Rio Janeiro, niewolnictwo, kawa i żółta febra. Po za tem istotnie nie wiedzieliśmy nic zgoła.

Tymczasem zaś przeróżnemi drogami, pomimo ścisłej kontroli rządowej, nadchodziły odezwy, pełne szumnych obietnic rajów na ziemi, w których najbezczelniejsze kłamstwa pomieszane były zręcznie z prawdą, a wszystko przybrane w szatę ponętą i zręczną, dowodzącą, iż ci, co na czele tej agitacji stali, musieli znać wybornie słabe strony ludu naszego, i grali też na nich — rozdmuchując przedewszystkiem nienawiść do dworów i szlachty, uderzając w czułe struny katolicyzmu i jeszcze czulsze — nędzy

materjalnej, która za morzem jednym zamachem skończyć się miała. I jakże miał wierzyć włościanin dziedzicowi lub księdzu, gdy mu dowodzili naprzykład, że przysyłane im z Hamburga bezpłatnie i rozdawane przez agentów, krążących po wsiach, „szyfkarty“ były świstkami bez wartości — gdy za takim świstkiem Bartek lub Wojtek z tej samej wsi już wyjechał; jak mogli wierzyć inteligencji, która, sama zresztą w to wierząc, tłumaczyła im, że pójdą w niewolę zamiast Murzynów, gdy znowuż tenże Bartek lub Wojtek przysłał tajemną drogą list, opisujący jako na „kolonii“ otrzymanej zebrał dwa kopce kartofli i kopiec pieprzu! — ten pieprz zwłaszcza imponował. Agent wmawiał w chłopa, iż dziedzic dlatego jedynie w zмовie z księżmi im wyjazd odradza, aby mu robotnik nie podróżował — co też, niestety, w wielu wypadkach było rzetelną prawdą.

Nie wiedzieliśmy sami podówczas, że większość listów, przychodzących z Brazylii od wychodźców, była sfalszowaną; nie wiedzieliśmy, że po za firmą Jose dos Santos w Lizbonie, podpisującego korespondencje i „szyfkarty“ ukrywał się Polak — Bendaszewski i niestety, ksiądz polski — Gurowski, związani w spółkę handlarzy żywym towarem w Hamburgu.

Nie wiedząc nie sami, radzić też skutecznie nie umieliśmy; lud zerwał wszystkie więzy, utracił resztę zaufania do surdurowej inteligencji, widział w obdzierającym go do nitki żydku — agencie swego jedyne go zbawcę — i poszedł „na złamanie karku“, jak nazwał to Dygasiński, po złote runo, mające go z oddali złudnym blaskiem, otumaniony i olśniony przez obietnice zamorskiej szczęśliwości. O ujemnych stronach agent mu nie wspominał, inteligencja zaś, zaprzeczając wielu rzeczom, które dlań były już, a dla nas stały się dopiero później niezbitym pewnikiem, utraciła w jego oczach prawo do zaufania. Nieufność wrodzoną rozdmuchiwał jeszcze agent. Gorączka brazylijska wybuchła, opanowawszy nadgraniczne powiaty, sięgając wszędzie, gdzie ruch wychodźczy istniał poprzednio — nad Wisłę, Wartę, Niemen i Narew, na Podole nawet. Potok wychodźstwa, tak spokojny zazwyczaj, iż nie dostrzegliśmy go w przeciągu lat dwudziestu, choć corocznie 40 — 60 tysięcy ludzi nam zabiera do wszystkich części świata, niewylączając Afryki i Australii, wezbrał nagle jak potok górski, opuszczając szerokie łożysko Stanów Zjednoczonych, i z gwałtowną siłą złobiąc sobie nowe koryto Brazylijskie.

Jak powiedziałem wyżej, wśród panującego zamętu nikt nie wiedział, ile jest oszustwa a ile istotnej prawdy w kłamliwych obietnicach agentów, a o zarządzeniu złemu myśleć było niepodobna, nie znając przyczyn, rozmiarów, symptomatów i skutków nowej gorączki. Należało koniecznie zbadać rzecz na miejscu, zwłaszcza, że dziennikarskie artykuły nadały klęsce, groźnej samej przez się, większe jeszcze rozmiary, aniżeli miała w istocie.

Pierwszą inicjatywę w tej mierze dał „Kurjer Warszawski“, wysyłając specjalnego korespondenta do Brazylii, zaopatrzywszy go atoli w tak skromne środki, iż Dygasiński, całkowicie zresztą nie przygotowany do poważnego i wszechstronnego zbadania Brazylijskich stosunków, powrócił po kilkotygodniowym pobycie z bardzo szczupłym i jednostronnym zasobem wiadomości. Jeszcze mniej przyczyniła się do wyświetlenia sprawy chybiona i bezowocna wyprawa p. Glinki i ks. Chełmickiego, wyrządziwszy tylko mimowoli wychodźcom wiele złego, o czem poniżej mówić jeszcze będę.

Wiosną 1891 roku jeszcześmy nie naprawdę nie wiedzieli, choć ruch trwał już od pół roku przeszło. Wówczas komisja, wyznaczona przez Lwowski zjazd ekonomistów i prawników w celu wszechstronnego zbadania sprawy wychodźstwa naszego ludu zagranicę, zwróciła się do mnie z prośbą zorganizowania wyprawy do Brazylii i Argentyny, a jeśli można, i do innych krajów południowej Ameryki, w celu wyświetlenia tamecznych stosunków immigracji europejskiej i porozumienia się z rządem Argentyńskim o ewentualne przesiedlenie brazylijskich emigrantów polskich, jak to miało przed laty miejsce z emigrantami niemieckimi z nad Wołgi, do obdarzonej, jak mniemaliśmy, lepszymi warunkami klimatycznymi i ekonomicznymi Argentyny. Gdyby zaś okazało się to niewykonalnym, miałem zbadać, czy przy pomocy konsulatów europejskich i towarzystwa Św. Rafała nie dałoby się rozciągnąć pewnej kontroli nad nadużyciami i wyzyskiem, których się rząd brazylijski na emigrantach dopuszczał i zapewnić im możliwość znalezienia pracy i zarobku.

Plan ten, wobec braku jakiegokolwiek poparcia materialnego ze strony rzeczonyj komisji i bardzo niechętnej postawy opinii publicznej w kraju, uległ pewnym zmianom, a podróż moja podzieliła się na dwie części — kilka miesięcy miałem poświęcić dokładnemu zbadaniu stanu istniejących już i nowo zakładanych kolonij polskich w południowej Brazylii, później

zaś przedsięwziąć geograficzno-przyrodniczą wyprawę przez nieznane stopy i góry północnej Patagonii i Araukanii. Zawód ze strony dwóch innych panów był tem przykrzejszy, że do ostatniej chwili zamiar swój towarzyszenia mi objawiali; a zwłaszcza jeden z nich, fachowy geograf i podróżnik amerykański, obznajomiony już z krajem i językiem hiszpańskim bardzo mi mógł być pomocnym.

Po przewycięzeniu wielu przeszkód, które jakby naumyślnie od chwili zamierzonego w pierwszych dniach maja wyjazdu ze Lwowa gromadzić się zaczęły, wyruszyłem nareszcie w początkach lipca do Paryża, stąd zaś, po załatwieniu niezbędnych do długiej i uciążliwej ekspedycji przez stopy i lasy sprawunków i zaopatrzeniu się w kilka listów polecających do władz brazylijskich i argentyńskich, udałem się do Bordeaux. 20. lipca byłem już na pokładzie statku „Congo“, udającego się do Rio Janeiro. Z towarzyszy podróży stawił się w terminie oprócz p. Antoniego Hempla, bawiącego już od kilku tygodni w Brazylii, tylko przyjaciel mój i kolega z uniwersyteckiej ławy p. Witold Łaźniewski.

Kwestja brazylijskiej emigracji polskiej, której zbadanie było jednym z głównych motorów pierwotnych mojej wyprawy, utraciła już podówczas ostry swój charakter, a wiadomości, zebrane przez X. Chelmickiego w Rio Janeiro i St. Paulo, ograniczyły pole działalności mojej w tej mierze do minimum.

Podczas pobytu w Paryżu starałem się zasięgnąć wiadomości o obecnym stanie kwestji z urzędowych źródeł brazylijskich. Okazało się, iż jakkolwiek bardzo wielu emigrantów polskich wciąż jeszcze do Brazylii dostać się usiłowało, bywali oni przez władze pruskie bezwzględnie zwracani na miejsce pobytu, rząd zaś brazylijski pod żadnym pozorem nikomu z wychodźców polskich nie udzielał biletów wolnej jazdy, a od przybywających dobrowolnie nawet własnym kosztem żądał formalnych legitymacyj, paszportów emigracyjnych i świadectwa moralności. Przyczyną tak nagłego zwrotu w opinii rządu młodej rzeczypospolitej, jak mię zapewniał p. Antonio da Silva Prado (były minister rolnictwa i pierwszy inicjator agitacji immigracyjnej w Brazylii), była dwójaką: najsamprzód nieprzewidziane rozmiary napływu emigrantów, który z 3.000 wzrósł do 18.000 miesięcznie, co przewyższa środki rozporządalne rządu brazylijskiego i nie dozwala wydażyć szczupłej liczbie

<http://rcin.org.pl>

urzędników z rozmieszczeniem coraz większej ilości wychodźców po plantacjach lub kolonjach rolniczych; z drugiej strony — bardzo niekorzystne wrażenie, jakie wywołali specjalnie wychodźcy polscy, pomiędzy którymi 5—6.000, t. j. około 10%, należało do szumowin społeczeństwa polskiego i nie chęcią znalezienia korzystnej pracy, lecz gorączką złota jedynie do Brazylii zagnani zostali. P. Prado twierdził, że wszyscy wychodźcy, chcący pracować, znaleźli mniej lub więcej korzystne pomieszczenie, istnieje wszakże pewna paczka, czyniąca najwięcej wrzawy, która, pomimo znacznego popytu na robotnika w plantacjach kawowych, uporczywie odmawia wszelkiej roboty i siedzi w największej nędzy w hotelu emigranckim w St. Paulo. Prawdopodobnie skończy się na tem, że ich na okręt spakują i do Europy jako balast nieużyteczny odeszłą, nie wiem tylko czy na ich powrocie wiele zyskamy. — Przekonałem się później naocznie, że w słowach p. Prado bardzo wiele, niestety, było prawdy. Od jednego z członków ambasady brazylijskiej słyszałem nadto, iż rząd republiki zamierza powrócić do pierwotnego systemu tworzenia kolonij, złożonych z wychodźców jednej narodowości, oraz popierać tworzenie się towarzystw i spółek kolonjalnych, któreby dozwoliły znieść obecne ograniczenie ruchu migracyjnego, będącego dla kraju, obficie uposażonego w olbrzymie niezaludnione obszary, bądźco bądź zjawiskiem pożądanym. Z wielu względów najmilej tam widziani są Włosi, najmniej lubiani natomiast Niemcy i Polacy.

20. lipca po południu „Congo“ podnosi kotwicę, odpływając na zielone wody Gaskońskiej zatoki. Czas w drodze mamy wyjątkowo piękny. Morze aż do znudzenia spokojne i jednostajne. Pasażerów obfitość wielka najrozmaitszego gatunku. Niebrak i nadobnych przedstawicielek gorącej Brazylii i dumnych portennas Argentyńskich, Murzynów z Senegalu, a nawet podkasana muza francuska w postaci całej trupy operetkowej, udającej się do Rio Janeiro, jest reprezentowaną. Mamy starego Holendra, jakby żywcem wykrojonego z obrazu Teniersa, Szwajcara w przejeździe z Bombaju do Rio Janeiro, i przystojnego anglika z młodzieńką i milutką żoną, bardzo ładnie grającą na rozstrojonym fortepianie okrętowym etudy i nokturny Chopina.

Na nudy nie ma jakoś czasu, a trudno go znaleźć nawet na niezbędną naukę języka portugalskiego. Stanowczo za często rozlega się dzwonek kelnera wzywający do stołu. Zdaje mi się,

że na lądzie nikt nie byłby w stanie tyle artykułów spożywczych zniszczyć, co na morzu... Wieczorem 21. ukazuje się ląd — niewyraźna smuga wśród mgły — to skaliste wybrzeża Asturji. Przed samym zachodem słońca mijamy bardzo blisko przylądek Finisterre: ozłocone promieniami zachodzącego słońca wznoszą się okazałe góry wprost z lazuru toni oceanu; bałwany z hukiem, do wystrzałów armatnich podobnym, rozbijają się o granitowe urwiska; na szczytach widnieją obok płatów nagiej, czerwonej skały — żółtawo-zielone plamy spalonych przez słońce pastwisk górskich. W oddali bieleją śnieżne mury rozrzuconej w malowniczym nieładzie na stoku góry wioski hiszpańskiej, z panującą nad niemi dzwonicą kościółka; zielenią się nieregularne czworoboki pól uprawnych...

Złocista tarcza słoneczna zachodzi i szybko w morzu tonie, rzucając ostatnie skośne promienie na góry i wioski; statek nasz oddala się od brzegu, a uroczy krajobraz mgłą sinawa i zmrok zapadający kryją przed oczami naszymi.

Dnia 22. wieczorem znowu dostrzegamy w oddali wybrzeże. Barwa morza przybiera odcień rozpuszczonej farbki. Mnóstwo statków nas mija; delfiny igrają w pobliżu, połyskując w słońcu mokremi grzbietami, mewy i petrele szybują za okrętem. Przez mgłę słoneczną widzimy wciąż na wschodzie białawą smugę skalistego wybrzeża Portugalii, na którym przez lunetę rozpoznać można liczne wioski, zielone winnice i sady owocowe.

Ciemno już było, gdyśmy do ujścia Tagu wpłynęli. Po lewej stronie czernieją na skalistej wysepce zębate baszty starożytnej wieży Alcantara, dalej — wzdłuż prawego brzegu rzeki, jak okiem sięgnąć, nieskończony szereg światełek, grupujących się w misterne desenie — to Lizbona.

Ponieważ krótko tylko w porcie zatrzymać się mamy, wstajemy bardzo wcześnie, aby miasto chociaż pobieżnie mógł obejrzeć. Widok, jaki się z pokładu okrętu przedstawia, jest istotnie imponującym, a sława piękności Lizbony najzupełniej zasłużoną.

Ktoś kiedyś nazwał nie bez racji stolicę Portugalii — Byzantium zachodu. Rozrzucone w malowniczym nieładzie na kilku wysokich wzgórzach na prawym brzegu Tagu, miasto, liczące około 400.000 mieszkańców, tworzy smugę nie szerszą nad pół kilometra, t. j. tyle, co oko widza objąć zdoła, lecz za to blisko 2 mile długa, piętrząca się naksztalt amfiteatru na stromych urwiskach wybrzeża. Po nad białe domki o płaskich dachach i niezliczonej

ilości oplecionych bluszczem balkonów wystają wysmukłe minarety i koronkowe gzymsy przeslicznych gmachów publicznych, budowanych przeważnie w stylu maurytańskim; gdzieś tam grupę domów przerywa biała ściana nagiej wapiennej skały, lub wiszące ogrody, upięte festonami bluszczu i wina, uwieńczone bujnemi koronami cienistych palm.

Na żółtych i mętnych, jak fale wiślane, wodach potężnego Tagu, ginących w nieskończonej oddali, kołyszą się okręty wszelkich narodowości i przebiegają we wszystkich kierunkach lotne barki rybackie. Jest w tym krajobrazie coś z Wenecji i Neapolu zarazem. Łodzie ozdobne, o wysokim przodzie w kształcie gondoli, maszty mocno w tył pochylone, olbrzymie trójkątne żagle (brygantyny), daleko większe od masztów samych; ogorzałe postacie marynarzy i rybaków w zwieszonych na ramię długich neapolitańskich kołpakach — tylko że barwa czarna przeważa — kołpaki i szerokie pasy rybaków są zawsze tego koloru; nadto wszyscy noszą faworyty, nadające portugalczykom pewien typ odrębny.

Lewy brzeg Tagu dość wysoki, zajmuje kilka wiosek, oraz koszary i fortyfikacje, wszystkie oślepiająco białe w promieniach południowego słońca.

W mieście ruch ożywiony panuje. Mnóstwo tramwajów, zaprzężonych w 3 lub 4 muły, przebiega górzyste ulice we wszystkich kierunkach; najbardziej spadziste skały zdobywa się na trybowych tramwajach elektrycznych; inne linje tramwajów elektrycznych utrzymują komunikację z przedmieściami i klasztorem Belem, ulubionem miejscem wycieczek mieszkańców stolicy.

Amator koni może tutaj wiele ciekawego spotkać: brak zupełny ciężkich perszeronów i ardenów, napotykanym na każdym kroku we Francji: zastępują je z lepszym skutkiem wyborne muły; natomiast w powozach prywatnych i dorózkach spotyka się nieustannie piękne typy krwi wschodniej. Karą czwórkę arabską królewskiego powozu długo w pamięci mieć będą.

Najpiękniejszą częścią miasta jest niezaprzeczenie nowa ulica „Avenida da libertade“: wspaniały bulwar, ozdobiony szeregami palm oraz dużemi kępami kwitnących oleandrów i rododendronów, ocieniających liczne wodotryski i strugę kryształową górskiego potoku, płynącego w cementowym łożysku

środkiem ulicy. Na początku wznoszącego się stromo ku górze bulwaru, obok prześlicznego, wyglądającego jak biała koronka brabancka dworca centralnego, utrzymanego w pięknym stylu maurytańskim, stoi wysoki obelisk wolności, nadający nazwę całej ulicy.

Z Avenida da Libertade dostajemy się tramwajem elektrycznym na szczyt stromej skały, skąd, z prześlicznego tarasu, pokrytego kępami osypanych kwieciami oleandrów, zwojami bluszczu i wina, oraz grupami palm cienistych, rozciąga się w całej okazałości panorama miasta i obszernego portu.

Wieczorem podnosimy kotwicę, lecz z powodu silnego wiatru od strony morza olbrzym nasz, gwiżdżąc i sapiąc w bezsilnej złości, usiłuje bezskutecznie obrócić się dziobem do ujścia Tagu. O 9-ej wreszcie zdołaliśmy się wydostać na morze, a w godzinę później latarnie morskie pięknej Portugalii znikły nam z oczu.

Morze wciąż spokojne zupełnie i do znużenia lazurowe; temperatura powietrza nie przewyższa 23° C., tylko ukazujące się coraz częściej ryby latające i fosforyzujące zielonawym światłem w białym szlaku za śrubą parowca iskry i kule świetlane przypominają bliskość zwrotnika. Uderza mię okoliczność, iż nie napotykamy nigdzie pływających wodorostów (sargasse), tak obfitych na linii pomiędzy Europą i zatoką meksykańską. Brzegu nigdzie nie widać, pomimo to, na pokładzie znajduję latającego motyla, widocznie przez wiatr zanieśonego na otwarte morze. Nie widzimy ani jednego statku na widnokregu; rzadko tylko biała mewa skrzydłem w słońcu błysnie, a kilka burzyków chwyta z piskiem drobiazg wodny w poruszanej przez śrubę okrętową białawej smudze piany. Brzegów niewidać. Dziennie przebywamy przestrzeń 320 mil morskich.

28. lipca po pięciodniowej żegludze dostrzegamy ku wieczorowi na widnokregu kopoluowaty cypel na wybrzeżach Senegalu. Wszystko, co żyje, wylega na pokład. Wieczór precudny, słońce jaskrawo oświetla strugami złotych promieni nagie czarne urwiska bazaltowe, połupane jakby w drzazgi na prawidłowe snopy słupów kamiennych, które raz wystrzelają pionowo w górę, tworząc zębatą brzoję, to znów rozchodzą się w kształcie olbrzymiego wachlarza, rozszczepionego u szczytu skały w tysiące pojedynczych iglic; to wreszcie leżą poziomo, tworząc niebezpieczną rafę, o którą z hukiem się rozbijają lazurowe bałwany.

Z daleka już widać, iż strona zachodnia skał wszystkich jest białej barwy od nagromadzonych mass ptasiego guana, a na każdej literalnie iglicy bazaltowej świecą białe punkciaki, zrywające się ciężko do lotu za nadejściem statku: to głuptyki (*Sula*), milionami zaludniające puste wysepki przy wejściu do zatoki Dakaru. Mnóstwo niezliczone czarnych burzyków (*Procellaria glacialis*), z lotu i ruchów do jaskółek podobnych, uganiania się za okrętem, polując na wyrzucane z kuchni odpadki.

Mijamy skalisty cypel, i na prawo przed nami bieleje w słońcu mała bazaltowa wysepka Gorée, zabudowana gęsto przez wille zamożnych mieszkańców europejskiej dzielnicy, z małym fortem na szczycie najwyższej skały. Na lewo — w głębi obszernej zatoki, na brzegu, wznoszącym się nakształt amfiteatru, rozrzucone w malowniczym nieładzie miasteczko Dakar, główny port francuzkiego Senegalu.

Koszary, hotele, szpital, kasyno, magazyny, dworzec kolei do St. Louis, kilkanaście domów prywatnych, rozrzuconych na znacznej przestrzeni, otoczonych skąpą zielenią mozolnie wyhodowanych na jałowym i spieczonym gruncie palm, baobabów i akacyj — oto cała dzielnica europejska. Wschodnią, połowę Dakaru, przedzieloną od europejskiego miasta szeroką aleją, tworzy wioska murzyńska: nagromadzenie walcowatych szałasów z stożkowym dachem słomianym, podobnych do ulów, ogrodzonych parkanem z trzciny, mat lub starych klepek. Z rzadka samotny baobab, świecący zdala białymi kielichami swoich długich, lejkowatych kwiatów, suchotnicza palma daktylowa lub smutnie potrząsający poszarpanemi na strzępki liśćmi banan. Roślinność tutaj bardzo uboga, z wielkim mozołem wyprodukowana przez Francuzów na niewdzięcznej, piaszczystej glebie.

Dzielnica murzyńska liczy około 6.000 mieszkańców, utrzymujących się przeważnie z żebrania. Europejczyków mieszka w Dakarze 500.

Przy jednej z szerokich alei, przecinających miasto murzyńskie, widnieje szałas nieco porządniejszy od innych, sklecony z desek i kryty dachówką — to pałac Dial-Diop, króla Dakaru, pokazującego się ciekawym za opłatą 1 franka od osoby, co, łącznie z 600 frankami pensji wypłacanej przez rząd francuzki, idzie na utrzymanie haremu i dworu. Nie zastaliśmy jego królewskiej mości w domu — wzorem bowiem królów biblijnych doszedł osobiście wydoić swoje krowy, z obawy aby mu który

z ministrów mleka nie ukradł. Honory domu robią nam dwie żony królewskie, zalotnie udrapowane w błękitne burnusy i białe zawoje, z włosami zaplecionymi w niezliczoną ilość cienkich warkoczyków, bransoletami na rękach i nogach, obutych w żółte marokońskie pantofle i wcale przystojna, jak na murzynkę, córka. Fotografję królowny udało mi się nieznacznie podczas rozmowy pochwycić.

Wnętrze pałacu, mającego kilka metrów kwadratowych powierzchni i dwoje drzwi matami przysłoniętych, lecz pozbawionego okien, zajmują dwa tapczany, kilimkami przykryte; na ścianach trochę naczyń z tykwy, nożów i stara strzelba stanowią całkowite umeblowanie pałacu. W szalaszach zwykłych czarnych śmiertelników, ciśniejszych nieco, toż samo umeblowanie bez kilimków i strzelby, dwa tapczany matami trzciniowymi pokryte, garnki na ścianie i amulet z zęba rekina lub innego, skutecznego na czary środka nad wejściem.

W dzielnicy europejskiej czarni podlegają pewnemu rygowi zewnętrznemu. Na ulicach panuje wyłącznie język francuzki; snują się obok udrapowanych w niebieskie lub białe burnusy murzynów, płócienne kaski urzędników białych i czerwone kurtki spahisów. Na rynku, ocienionym kilkunastu drzewami, panuje wrzawa niesłychana, a malownicze gromadki czarnych przekupniów, żebraków i włóczęgów przedstawiają wielką pokusę dla amatorów - fotografów, jakich posiadamy kilku na pokładzie „Congo“. Sam kapitan w asystencji ober-stewarta dźwigającego olbrzymią torbę z aparatem fotograficznym daje przykład; obok ustawił się jakiś inżynier belgijski z wielkim trójnogiem, dalej Łażniewski ze swoim aparatem. Pomimo jednak prośb, groźb, obietnic pieniężnych i kijów, hojnie rozdzielanych przez murzyńskich przewodników na wszystkie strony, nie otrzymano rezultatów żadnych. Instynktowa obawa przed portretowaniem, wspólna wszystkim ludom pierwotnym, sprawiała, iż najpiękniej ugrupowane przekupki zmykały w popłochu, skoro tylko ujrzały wymierzoną ku sobie lunę aparatu, a gdy się jakie zdjęcie momentalne nawet udało wykonać, niewątpliwie w chwili stanowczej przed samą soczewką znalazła się kędzierzawa czupryna lub ciekawy nos o pięknie hebanowym połysku, zakrywający cały widok. Ja tylko jeden, zaopatrzony w niezwracającą uwagi małą kamerę ręczną Stirna, którą najgoręcej wszystkim

podróżnikom zalecić mogę, zdołałem uchwycić kilka typów ciekawszych.

Jeżeli część miasta europejska ma już wygląd wysoce egzotyczny, to dzielnica murzyńska przenosi nas od razu wgląd czarnego ładu. Przed drzwiami szalasów murzynki, zupełnie nagie, nawet bez klasycznej przepaski na biodrach, nakładanej, jak się zdaje, tylko przy wyjściu na ulicę, lecz natomiast ze srebrnymi bransoletami na rękach i nogach, miałą w pierwotnej konstrukcji żarnach kształtu wielkiego moździerzka mais lub proso; po ulicach snują się udrapowane w barwne burnusy arabskie postacie mężczyzn, włóczących się bez zajęcia i wyciągających co chwila rękę do przechodnia europejskiego z nieodmiennem „monsieur, donnez moi quelque chose!“ — zupełnie jak neapolitańskie „date mi un soldo!“ Miejscowi Francuzi pozbywają się natrętów bez ceremonii kijem — chociaż to przyzwyczajonych do bata murzynów bynajmniej nie zraża, częstokroć obici natrętniejszemi się jeszcze stają.

Kobiety snują się po ulicy z dziećmi na plecach, wyglądającymi z zarzuconej chusty jak małe małpiątka; głowę trefią na sposób abissyński w mnóstwo drobnych warkoczyków, przypominających uczesanie głowy na hieroglifach egipskich.

Gdzieniedzie, lecz tylko u mężczyzn, ślad cywilizacji europejskiej: stary tużurek włożony na gołe ciało, lub kurtka czerwona spahisa na arabskim burnusie; cylinder dziurawy zamiast fezu, lub kamasze zamiast żółtych pantofli arabskich. Pominąwszy ten nieunikniony w portowym mieście wpływ Europy, objawiający się w dziwacznej kombinacji nagiego ciała z cylindrem, lub zawoju z watowanym paltotem, włożonym na gołe ciało; przeważa wszędzie błękitny lub biały burnus arabski. Wszyscy uwieszani amuletami przeróżnego rodzaju, ze skóry, kości lub drzewa. Mimo wielkiej wiary w skuteczność swoich *gri-gri* — sprzedają je chętnie cudzoziemcom, stawiając jednak zwykle dość wygórowane żądania. Lud w ogóle krzepki i rosły, nie brzydki, o ile typ murzyna w oczach naszych pięknym być może. Cywilizacja zachodu dostaje się do nich dość podejrzaną drogą, bo przeważnie za pośrednictwem żołnierzy załogi, odgrywającej w armii francuzkiej rolę bataljonów poprawczych.

ROZDZIAŁ II.

Przez równik. Pernambuco. Tratwy rybackie. Bahia.
Przybycie do Rio de Janeiro.

29. lipca w południe podnosimy kotwicę wśród wiwatów rozochoconych oficerów załogi fortecznej, którzy noc z nadobnemi kapłankami wesolej muzy przy szampanie spędzili. Damy owe uraczyły się tak sownie, że kapitan, zresztą wcale wyrozumiały na ludzkie słabostki, zagroził im zamknięciem na dno okrętu na chleb i wodę, jeżeli się nie będą zachowywały spokojnie. Groźba poskutkowała, damy znikły w kajutach, rozmarzona oficerja, śpiewając ochryplym głosem „en revenant de la revue“, odplynęła do domu. Zgrzytnęła kotwica, czarny kadłub okrętu drgnął życiem, woda zapieniła się pod uderzeniem śruby i „Congo“ znowu wypłynął na lazurowe fale oceanu.

Bliskość równika dają nam poznać coraz liczniejsze ryby latające, których istnieje w tych wodach dwa gatunki: większe, czarne, wielkości sandacza, trzymają się zwykle pojedynczo i lot posiadają bardzo długi. Zauważyłem, iż zdolne są lecieć przeciw wiatru i kilkakrotnie zmieniać dowolnie kierunek swego lotu na przestrzeni, dochodzącej do 300 kroków. Mniejsze, wielkości śledzia, białe, trzymają się licznemi stadami i pluskają na prawo i lewo obok statku. Lot ich jest w ogóle znacznie krótszy.

Wieczorami za śrubą parowca świeci smuga iskier i kul świetlanych — są to żyjątka fosforyzujące, wymoczki, meduzy... fale rozbijające się o przód i boki statku częstokroć rozpryskują się jak świece rzymskie w deszcz świecących iskierek.

Morze wciąż jednostajne lazurowe i spokojne bardzo. Dnia 1. sierpnia w nocy mijamy równik, co daje powód do powszechnej zabawy na pokładzie i w salonach parowca. Celem jej — sprawienie tradycyjnego śmigusa nowicjuszom, pierwszy raz wkraczającym na południową półkulę. Panie zwłaszcza są gorliwe w oblewaniu bliźnich wodą kolońską, sodową i zwykłą morską nareszcie, a usłużny *maitre d'hotel* okrętowy stawia za skromnem wynagrodzeniem do ich dyspozycji cały arsenał misternie obmyślanych szprycek w postaci cukierków, kwiatów etc., oraz poważny zastęp syfonów wody sodowej.

Nie brak i szlachetniejszych rozrywek. W salonie, żona brazylijskiego posła w Petersburgu, pani Macedo, gra bardzo

poprawnie kilka mazurków Chopina i dziarskiego mazura Glinki, a na pokładzie, przy dźwiękach gitary, hiszpańska baletnica każe nam podziwiać piękność bolera i fandanga. Gdy noc zapadła, a towarzystwo, w znacznej części z francuzów złożone, rozba-wiło się na dobre, nie obeszło się gdzieniegdzie i bez narodo-wego kankana. O 11 pogaszono światła i wszystko wróciło do zwykłego trybu.

Nudy morskiej podróży, po wyczerpaniu zasobu książek zabranych w tym celu, zabijamy grą w domino wieczorem, a we dnie w „palet“. Zabawa ta, jak się zdaje, wynaleziona specjalnie dla nudzących się pasażerów okrętowych, polega na rzucaniu płaskich krążków kauczukowych na tablicę położoną na ziemi i podzieloną na numerowane kwadraty. Należy rzucać krążek w taki sposób, aby, spadając, nakrył jeden z numerów tablicy, przyczem, jak w krokiecie, należy rozmaite, coraz wyższe numera kolejno w pewnym oznaczonym porządku nakrywać. Grający, jak w krokiecie, dzielą się na dwie partje — wygrywa ta, która pierwsza zrobi przepisaną ilość punktów. Pasażerowie całemi dniami w tym sporcie się ćwiczą. Zwłaszcza niezmordowanemi są — brazylijski ambasador, jedna z szansonistek i Anglik, właściciel kilkudziesięciu tysięcy owiec w Patagonii.

Dnia 4. sierpnia o godzinie 2-ej w nocy dostrzegamy światła na brzegu: to pierwsza stacja na lądzie brazylijskim — Pernambuco. O świcie zbliżamy się bardziej do przystani i zarzuca my kotwicę wprost stacji kolejowej w „Recife“. Mamy przed sobą niewielkie, porządnie, po europejsku zabudowane miasto. Na lewo — nieskończony las palm kokosowych pokrywa wybrzeże; na prawo — starożytna twierdza holenderska w gruzach już prawie; dalej szereg ginących wśród zieleni gajów palmowych, domków i willi. Widnokrag zakrywa gęsto zabudowane i zielonością okryte wzgórze „Olinda“, na paręset stóp ponad poziom wzniesione. W głębi panoramy, jak okiem sięgnąć — falista okolica, lasem dziewiczym pokryta.

Wejścia do przystani strzeże długa rafa skalista, której miasto nazwę swoją zawdzięcza (Recife), jedyna może na świecie w swoim rodzaju.

Oto co o tej rafie pisze Darwin w swojej podróży:

„Nie ma chyba naturalnego utworu, mającego wygląd tak „dalece sztuczny, jak rafa w Pernambuco. Tworzy ona ławicę „kilka kilometrów długą, matematycznie prostą, w niewielkiej

„odległości od wybrzeża. Szerokość jej wynosi 30–60 metrów, „szczyt płaski i równy. Skalą ją tworzącą jest piaskowiec bardzo „twardy, w którym zaledwie rozpoznać można warstwowanie. „Podczas przyływu bałwany morskie rozbijają się na tej lawicy; „w czasie odpływu szczyt jej wystaje z wody i wygląda na „groblę, zbudowaną przez cyklopów. Na wybrzeżu tem prądy „morskie odrzucają piaski ku lądowi — i na takim to piaszczystem „namulisku stoi miasto Pernambuco. Jakkolwiek fale Atlantyku „dnem i nocą biją o ten mur naturalny, najstarsi piloci nie „pamiętają najmniejszej zmiany w jego wyglądzie. Trwałość tę „zadziwiająco zawdzięcza rafa powłoce wapiennej zaledwie kilka „cali grubej, odnawianej nieustannie przez drobne żyjątka — „serpule, anafity i nullipory. Bez pomocy tych organizmów „dawno już rafa Pernambuco uległaby pod ciosami bałwanów — „a bez rafy miasto nieposiadałoby wygodnej przystani, jaką się „dzisiaj cieszy“.

Na mapach spotykamy stale nazwę Pernambuco, w samej rzeczy natomiast składa się ono z trzech miast oddzielnych, przedzielonych rzekami Capiberibe i Beberibe: Recife — wprost rafy kamiennej na płaskim wybrzeżu, Olinda na północy, Pernambuco — na zachodzie, w głębi. Łączą je pomiędzy sobą długie mosty na palach. Brzegi rzek pokrywają bagna ryzoforowe.

Miasto, założone niegdyś przez holendrów, należy do najstarszych w Brazylii i jest ogniskiem ożywionego handlu cukrem, wódką i bawełną. W ostatnich czasach osiedla się w górach okolicznych wielu kolonistów, zwłaszcza Włochów i Portugalczków, uprawiających bawełnę i trzcinę cukrową.

To też z pośród leśnej zieleni wznoszą się w wielu miejscach słupy dymu z palonych pod zakładające się nowe osady lasów. Zaznaczyć należy szczegól ciekawy, iż pszenicę w ilości około 140.000 beczek otrzymuje Pernambuco z Węgier, a masło z Francji...

Mieszkańcy Pernambuco są odważnymi żeglarzami. Do osobliwości miejscowych należą lekkie tratwy rybaków, na których daleko na morze się zapuszczają. Tratwy te, zaledwie 4–8 metrów kwadratowych powierzchni mające, budują się z bardzo lekkiego drzewa (*ochroma piscatoria*), posiadają ławeczkę do siedzenia w tyle, maszt na przodzie i wielki żagiel trójkątny.

Tratwa jest całkowicie niemal w wodzie zanurzoną, gdy paru ludzi na niej się pomieści — z daleka też robi wrażenie pływającego stolka. Na tak kruchych statkach rybacy miejscowi po dni kilka nieraz pozostają na oceanie, tracąc zupełnie ład z oczu, a nawet do Rio Janeiro na kruchych tych łupinach się zapuszczają. Kilku murzynów przynosi nam na sprzedaż małe modele tych tratw, znajdujące chętnych nabywców, oraz owoce krajowe — banany, ananasy, sapotilhas, anony, pomarańcze; inna łódź przybija z ładunkiem papug — ponieważ jednak płyniemy do ich ojczyzny, towar ten nie znajduje amatorów, choć sprzedający je murzyni, spychani co chwila do wody przez majtków, z kocią zręcznością wdrapują się zewsząd na pokład, natrętnym szturmem pragnąc zdobyć kieszenie pasażerów.

Z rana podnosimy kotwicę, trzymając się odtąd ciągle w pobliżu wybrzeży. Są to nieskończone szeregi jałowych, pustych wydm piaszczystych, oślepiającej białości, jakby dla kontrastu upstrzonych ciemną zielenią jakichś krzewów karłowatych. Po za linią wydm widać w oddali żyzną okolicę, pokrytą lasami, z których wznoszą się słupy dymu, wskazujące miejsca nowopowstałych osad.

Woda w pewnej odległości od brzegów jest stale barwy zielonej, dopiero dalej przechodzi w zwykły ciemny szafir oceanu. Niebo nieco zachmurzone i słońce, przedzierające się przez chmury, wywołują na zielonej tafli wody bardzo ładne efekta kolorystyczne, zmieniające barwę morza z szarawej w szmaragdowo-zieloną.

Wielce oryginalną okoliczność zaznaczyć mi wypada, iż pomimo bliskości wybrzeża, które nieustannie mamy przed oczyma, w przeciągu 36 godzin, t. j. całej podróży z Pernambuco do Bahia, nie spotkaliśmy ani jednego ptaka. Mewy i burzyki znikły zupełnie.

Wielką rozrywką dla pasażerów są liczne wieloryby, igrające w pobliżu statku, i wyrzucające wysoko fontanny wody, które zdradzają z wielkiej nawet odległości ich obecność. Panie zwłaszcza nie odejmują lornetek od oczu, oczekując ponownego ukazania się sygnalizowanych w pewnym kierunku przez wprawniejsze oczy marynarskie wielorybów.

5. sierpnia na wieczór stajemy w Bahia. Wybrzeże przedstawia krajobrazy przecudne: wysoka na 300 stóp równina granitowa, przecięta głębokimi parowami, spada w postaci

stromych urwisk do morza, okryta bujną zielenią gajów palmowych i ljan, z pośród których zrzadka tylko krwawo-czerwone płyty nagiej skały widnieją. Z pośród gajów kokosowych migają białe zabudowania plantacyj trzciny cukrowej i ogrody słynnych na cały świat zielonych pomarańcz; gdzieniegdzie wystrzela dzwonnica kościołka wiejskiego lub mury starego klasztoru.

Wpływamy do olbrzymiej zatoki, której skaliste brzegi nikną gdzieś w oddali. Po prawej stronie, na szczycie skały wznosi się biała latarnia morska, dalej zaś opleciony zielenią, wysoki na 100 metrów, mur granitowy, na którego szczycie bieleją domki i zarysowują się sylwetki drzew mangowych i palm, Wprost przystani miasto schodzi aż do wybrzeża, jakkolwiek nie ma ani jednej ulicy dostępnej dla wozów, a domy są jak gniazda jaskółcze przylepione do prostopadłej ściany granitu, przeplatane drzewami.

Sprawiedliwość każe przyznać, iż pomimo dzikiej piękności okolicy, brazyljanie nie przyczynili się w niczem do podniesienia jej uroku: architektura domów jest zaprzeczeniem krzyczącą wszelkich zasad estetycznych; są to wysokie, wąskie, białe lub na jaskrawe barwy zwyczajem portugalskim pomalowane pudełka. czerwoną dachówką kryte. O estetykę dba tylko matka przyroda, potężnem tehniem swoim szybko niszcząc niedołęzne dzieła ludzkie, aby na gruzach murów malownicze kępy bujnej zieleni zaszczepić.

Komunikacja pomiędzy miastem i przystanią odbywa się za pomocą windy, która mi żywo przypomniała wjazd do salin wielickich, lub też przy pomocy elektrycznych tramwajów linowych.

Wydostawszy się na górę, znajdujemy się naprzeciw nowego, wcale ładnego ratusza i jesteśmy za brudy i zaduch portowy sownie wynagrodzeni przez precudną panoramę, jaka się z tego miejsca na całą zatokę odkrywa. Zmrok szybko zapada i w kilka minut po zachodzie słońca mamy już zupełną zmianę dekoracji: niebo różowe i fioletowe, jak na obrazach impresjonistów; zatoka odbija wiernie jak lustro kolory nieba, ład zaś zlewa się w jednolitą, czarną masę, a patrząc ku zatoce, oko spotyka ostre kontury domów, sylwetki palm i drzew mangowych, jakby atramentem na różowo-fioletowem tle odrysowane. Jeszcze chwila i pozostało już tylko czarne niebo,

czarna woda i czarne miasto, usiane mirjadami gwiazd, światełek okrętowych i ogni w domostwach.

Bahia dos todos os Santos (zatoka wszystkich świętych), zwana inaczej San Salvador, liczy obecnie do 300.000 mieszkańców, zajmuje przeto drugie miejsce w Brazylii; posiada stały teatr i akademię medyczną. Nazwać by je można miastem murzynów i kościołów, — pierwsi bowiem stanowią $\frac{4}{5}$ ludności całkowitej, kościołów zaś i klasztorów miasto i okolica liczy przeszło 70.

Większość klasztorów stoi, co prawda, dzisiaj pustkami, licząc zaledwie po kilku zakonników. Bahia jest siedliskiem arcybiskupa i religijną stolicą rzeczypospolitej. Jest to jeden z najważniejszych portów handlowych Brazylii, a dochody celne tutejszej komory dochodzą do pokażnej cyfry 25 milionów franków rocznie.

Produktem wywozu był dawniej wyłącznie cukier trzcinowy, z powodu jednak przesilenia w cukrownictwie plantatorów przerzucają się coraz bardziej na inne pola produkcji — mianowicie kawę, kakao, wreszcie tytoń, mający ustaloną już dzisiaj sławę, którego się wywozi w postaci liści i gotowych cygar za sumę 17 milionów franków.

Prowincja Bahia, należąca, pomimo gorącego i niezdrowego swego klimatu, do najludniejszych i najdawniej zamieszkałych w Brazylii, rozpada się na trzy odrębne regjony: wybrzeże (*Reconcavo*) zajmujące się uprawą cukru i kawy już od trzech wieków; wewnątrz kraju (*Sertao*), obfitujące w łąki i wodę, gdzie się mieszkańcy oddają przeważnie hodowli bydła, oraz lesiste południe, graniczące z dziką prowincją Espiritu Santo, gdzie powstają wśród puszczy, przeważnie włoskie, kolonie rolnicze, uprawiające kakao, mais, manjok i owoce południowe. Koloniści europejscy niechętnie ściągają się w te strony, nie tyle ze względów klimatycznych — dla Włochów bowiem i Hiszpanów upały tutejsze nie są przykre, a febry żółtej po za strefą nadmorską nie ma, — lecz głównie z powodu smutnej tradycji niewolnictwa, zbyt świeżej jeszcze tutaj — w jednym z najdawniejszych ognisk plantatorskiego kańczuga, aby brazylijscy *fazendeiros* nie zapominali od czasu do czasu, iż prawo z dnia 13. marca 1888 r. odebrało im na zawsze władzę batoga nad robotnikami. Stąd liczne nadużycia, często zajścia krwawe pomiędzy chlebobdawcami a pracownikami, coraz większy ubytek

rak i coraz większy upadek wielkiej własności ziemskiej, ratującej zagrożone swoje istnienie sztucznem podtrzymywaniem imigracji europejskiej i wyzyskiwaniem pracy nowoprzybyłych, nieobeznanych z warunkami miejscowemi wychodźców. Ponieważ jednak Włosi coraz trudniej oszukiwać się dają, w roku zeszłym rząd związkowy postanowił sprowadzić do Bahia i Pernambuco „kolonistów“ chińskich. Jest to usiłowanie przywrócenia niewolnictwa w nowej postaci, tak samo, jak to uczyniło Peru przed kilkunastu laty dla dogodzenia wielkim plantacjom cukrowym. Zresztą w podobnych warunkach „liberalni“ Francuzi ściągają do zabójczego klimatu swoich podzwrotnikowych kolonij kulisów indyjskich, a australscy plantatorowie kanaków...

Samo miasto Bahia, w którem 77.000 niewolników murzyńskich po uwolnieniu osiadło, jest niemożliwie brudnem. Oprócz ratusza i nowowypudowanej szkoły normalnej niema ani jednego gmachu, któryby odpowiadał skromnym nawet wymaganiom estetycznym. Wynagradza to sownie urocze położenie miasta i bogactwo podzwrotnikowej roślinności.

Drożyna jest równie wielką jak w Rio Janeiro; n. p. za przewiezienie na ląd kilku osób, t. j. za 10 minut wiosłowania musimy po długim targu zapłacić dwom brudnym murzynom 10 milreisów, t. j. prawie 20 franków podług ówczesnego kursu, a za bardzo skromny obiad w hotelu — po 3 milreisy od osoby.

O północy, opłaciwszy uspienie argusowej czujności stróża bezpieczeństwa publicznego, mającego surowy nakaz nie wypuszczania nikogo z miasta po 9-ej wieczorem, powracamy na pokład „Congo“ i zaraz potem podnosimy kotwicę, pozostawiając na gładkich jak lustro wodach zacisznej zatoki ognistą smugę iskier fosforycznych.

6. sierpnia straciliśmy od rana wybrzeże z oczu. Ostry i silny wiatr południowy utrudnia nam żeglugę: zamiast 330, przebyliśmy tylko 250 mil morskich w przeciagu doby. Przecie po raz pierwszy od chwili wyjazdu z Europy morze przestaje być podobnem do wielkiej balji z rozpuszczoną farbą i majestat swój nam okazywać raczej, wstrząsając groźnie pianistą grzywą bałwanów. Fale 3—4 metrów wysokie biją o boki parowca, rozpylając się w słoną mgłę wodną, połyskującą w słońcu jak deszcz brylantowy. Przezorniejsi, a bardziej zajęczego serca podróżni rozpytuja uśmiechających się złośliwie majtków o środki ratun-

kowe na wypadek rozbicia okrętu; słabsze niewiasty jęczą po kajutach. Nie cierpią one bynajmniej na chorobę morską, o nie! „*on est trop vieux marin pour ça*“, to tylko kucharz coś niestrawnego dał na śniadanie, a upał w tych szerokościach dusi..., choć termometr wskazuje tylko +16° C.

8. sierpnia przy pogodzie przecudnej przechodzimy w odległości zaledwie paruset metrów od starannie omijanego przez statki skalistego cypla *Cabo Frio*. Wysoka na paruset metrów skała granitowa o stożkowatym szczycie, spada pionowo do morza, aż do szczytu prawie wygładzona przez bijące o nią bałwany; od strony lądu pokrywa ją rzadka, żółtawa roślinność.

Parowiec zmienia kierunek na zachodni i odtąd mamy wciąż przed oczami szereg dzikich, skalistych wysepek, zakrywających górzyste i leśne wybrzeża.

O 2-iej popołudniu wchodzimy do wąskiego kanału, prowadzącego do zatoki Rio de Janeiro. Wejście zamyka kilka granitowych wysepek, stożkowatego kształtu, gładko wypolerowanych przez bałwany i ozdobionych gdzieindziej kępami palm kokosowych i bombaxów. Brzegi kanału dzikie i skaliste.

Szczegół godny uwagi, iż z powodu braku mrozów granity, i w ogóle skały w krajach równikowych, wietrzeją zwolna, nie krusząc się na odłamy skalne, tak charakterystyczne dla krajobrazów górskich w Europie. Stąpając wszędzie bezpośrednio po powierzchni zwiertzałego granitu, nie widzimy nigdzie twardej brył kamiennych, których dopiero w parowach i sztucznych odkrywkach szukać trzeba. Stąpamy wszędzie po krwawo-czerwonej glebie, zwanej *terra roxa*, stanowiącej największe bogactwo Brazylii, na niej bowiem najlepiej kawa się udaje. Stąd owe dziwne, nieznane gdzieindziej ostrokątne kształty granitowych gór Brazylijskich, powtarzające się z matematyczną ścisłością na każdym kroku; z drugiej strony widzieć można częstokroć urwiska, na pozór złożone z granitu lub gneissu o charakterystycznym złożeniu kryształów, które za dotknięciem rozsypują się w tłustą glinę.

Wpływamy wreszcie do zatoki. Na lewo znany czarny stożek *Pao de Azucar*; za nim w głębi, mgłą lekką przysłonięte, zielone szczyty *Corcovado* i *Tijuca*. Na prawo — drugi stożek granitowy, rodzony brat *Pao de Azucar*, u stóp którego rozsiadła się wykuta w skale cytaadela. Przed nami dość wąska i długa, zaciszna zatoka o wodach szmaragdowych, zewsząd okolona

wysokimi górami, a na jej brzegach i wzgórzach pobliskich, jak *Morro do Sao Francisco, da Sta Theresa* etc. rozsiadło się na kilkomiłowej przestrzeni przeplatane zielenią pięknych ogrodów miasto, liczące dzisiaj już do 800.000 mieszkańców.

Gdyby nie pióropusze palm kokosowych, wystrzelające zewsząd, i nie czarne, małpie twarze uwijających się wokół marynarzy, możnaby mniemać, że się znajdujemy na jednym ze szmaragdowych jezior tyrolskich, dotknięciem czarodziejskiej różeczki przeobrażonem w przystań morską, tak dalece położenie zamkniętej zewsząd zatoki jest do okolic Gmunden n. p. podobnem. Też same wody spokojne pięknie szmaragdowej barwy, też same dzikie skały wokół, też same wille i sady, rozrzucone na stokach górskich.

Owo piękne położenie posiada wszakże bardzo ważną stronę ujemną, a tą jest brak wentylacji, skutkiem czego żółta febra i inne choroby epidemiczne stale grasują w mieście, zwłaszcza pomiędzy ludnością ubogą, źle się odżywiającą i zmuszoną dla zarobku przebywać stale w cuchnących dzielnicach portowych.

Na zielonych wodach zatoki kołyszą się olbrzymie pancerniki brazylijskiej eskadry, z których dolatuje głos trąbek sygnałowych; mnóstwo statków angielskich, norweskich, niemieckich, włoskich i francuskich stoi na kotwicy.

W chwili gdy zawijamy do portu, mijają nas dwa parowce włoskie z emigrantami, udając się do Santos.

ROZDZIAŁ III.

Rio Janeiro. Kłopoty kwaterunkowe. Intronizacya arcybiskupa. Życie uliczne. Doktor uliczny. Spera um poco i Paciença. Ogrody publiczne. Muzeum. Okolice miasta. Ruch handlowy. Nieco historyi.

Na potężny ryk „Congo“ po niejakiem czasie podąża ku nam cała flotyła małych parowców pod żółto zieloną banderą brazylijską, szalup i łodzi przewoźniczych, odbywają się przepisane prawem wizyty lekarza i policji portowej, gdy tymczasem z wnętrza łodzi i szalup odzywają się wesołe głosy przyjaciół i krewnych pasażerów, oczekujących ukończenia urzędowych formalności, aby na pokład podążyć.

Gwar rozmów z góry i z dołu — włoskich, portugalskich, francuzkich, niemieckich; pokład roi się od ludzi — wszyscy odświętnie przybrani, każdemu pilno na ląd stały nogą stąpić. Jednych czekają swoi, dom, rodzina; inni z gorączkową niepewnością patrzą na tę kąpiącą się w słońcu, przecudną panoramę nowego świata, niepewni czy jutro im majątek i powodzenie, czy zawód gorzki, ruinę i śmierć przyniesie.

Po chwili zaroilo się na okrętowej drabinie i barczysta, ogorziała postać p. Hempla ukazała się wśród tłumu.

Przewoźnicy tymczasem czarni i biali oblegają statek, bombardując pasażerów owiniętymi nakształt piłki blaszanymi numerami swoich łódek. Zgodziwszy jakiegoś poważnie wyglądającego portugalczyka, znosimy ręczne pakunki i uściskawszy serdecznie dłoń zacnego komendanta „Congo“, odplynęliśmy do miasta.

Mamy od statku około pół godziny drogi, którą odbywamy z niejaką obawą, przyływ bowiem się zaczyna, fala jest silna, śmigające koło nas parowce wzmagają jeszcze kołysanie, a łódka jest niewielka, mocno obciążona i co chwila nabiera wody do środka, wywołując popłoch między damami. Nie napróżno wszakże Portugalczycy mają sławę dobrych marynarzy — przybywamy bez szwanku, choć pewne części naszej garderoby są dobrze słoną wodą przemoczone. Przystań w śródmieściu, gdzie łódź nasza do brzegu przybija, jest przedmiotem słusznej dumy Brazylijanów: wykuto ją bowiem całkowicie w granitowej skale.

Posiadamy na szczęście w naszym gronie młodego Brazylijanina, p. Vergueiro, znającego dobrze miasto i zwyczaje, na samym wstępie bowiem spotkaliśmy nieprzewidzianą trudność — brak hoteli w Rio Janeiro. Wprawdzie sążniste napisy złotymi literami na kilku domach głoszą wyraźnie: „Hotel“, z wyjątkiem wszakże dwóch czy trzech hoteli drugorzędnych, przepelnionych po brzegi z powodu sezonu operowego i sesji parlamentu, pozostałe są hotelami z nazwiska tylko i bardzo często nie posiadają wcale pokoiów do wynajęcia: zupełnie inne, a niezbyt moralne miewają przeznaczenie. Obszedłszy sumiennie wszystkie przybytki tego rodzaju w śródmieściu dochodzimy do wniosku, iż wypadnie nam albo na „Congo“ powrócić, albo spędzić noc pod gołem niebem wraz z bagażami. Nasz brazylijski przyjaciel obiecuje jeszcze w dalszych regionach poszukać, i naznaczywszy nam na wieczór rendez-vous w „Café do Globo“, wsiada

<http://rcin.org.pl>

w przechodzący tramwaj i znika nam z przed oczu. Rzeczy zdajemy jakiemuś posłańcowi z wózkiem ręcznym, który z flegmatyczną miną, zapaliwszy cygaro, snadź przyzwyczajony do podobnych wypadków, oświadczył, iż czekać będzie na placu choćby do jutra; sami zaś, w oczekiwaniu na rezultat poszukiwań naszego przyjaciela, puszczamy się na włóczęgę po mieście.

Zaraz na wstępie, obok katedralnego kościoła uderzył nas zgiełk i zbiegowisko wielkie: zgraja łobuzów ciskała pomiędzy zwartą ciżbę ciekawych zapalone szmermele, oddział wojska w paradzie stał pod bronią, gdzieś grała muzyka wojskowa, a dzwony farnego kościoła wydzwaniały rytmicznie rzewną jakąś melodię. Przyzwyczajony już dawniej do tego rodzaju hałaśliwych objawów południowo-amerykańskiej wesołości, uspakajam strwożone damy, uciekające do sieni jakiegoś domu. Zwłaszcza mała M-lle Zézé, „artystka“ od baletu z teatru Eldorado, uprawiająca specjalnie pewien modny w Paryżu taniec arabski, jest przekonaną najświęciej, iż w chwili naszego wylądowania wybuchła w Rio rewolucja. Tymczasem była to tylko intronizacja nowego arcybiskupa stolicy.

Nie zdarzyło mi się podczas włóczęg moich po świecie nigdzie widzieć min tak napuszystych i pewnych siebie, jak u obywateli Rio Janeiro, chociaż zaprawdę niewiem, z czego tak bardzo dumnymi być mogą. Ubrani w nieposzlakowanego kroju czarne tużarki i cylindry, z mnóstwem kosztownych pierścionków na palcach, które nawet małe dzieci noszą, brylantami w krawatach i gorsach, na brelokach, spinkach — i w ogóle wszędzie, gdzie je przyczepić można, mają miny panów świata, a buta ich niezna granic. Pewien porucznik od artylerji z miną zupełnie poważną wmawiał we mnie, iż Rio Janeiro jest stolicą świata... coś podobnego do mniemania chińczyków o sobie.

Kobiety, o których „kreolskiej“ piękności przesadne mamy w Europie wyobrażenie, nie są ładne, znać w nich zbyt wybitnie silną domieszkę krwi afrykańskiej. Sprawiedliwość nakazuje mi przyznać, iż posiadają wiele wdzięku, piękne, czarne, wilgotne oczy i zalotność, niekiedy przekraczającą granice dozwolone w Europie, Węgier nie wyłączając.

Ale otóż nowy tumult: na wielkim, czerwonym wozie, oblepionym reklamami, ciągnionym przez ukrytego prawie zupełnie wśród reklam muła, siedzi jegomość czarno ubrany, przystając na rogach ulic, przyczem pomocnik jego rozrzuca

reklamy drukowane wśród publiczności. To „doktor“ amerykański, wrywacz zębów na poczekaniu i handlarz cudownych środków. Szarlatanów tych jest w Rio bez liku, a widać niebrak też łatwowiernych pacjentów, dających się na lep reklamy złapać.

Z placu katedralnego wchodzimy na główną ulicę stolicy — *rua do Ouvidor* (ul. Złotnicza). Domy budowane na sposób europejski, wspaniałe wystawy sklepowe, parę małych kawiarni w rodzaju francuzkim, nieskończona ilość różnobarwnych chorałgi z anonsami, łuki gazowe, rzucone przez ulicę, w nocy również reklamami świecące, uliczka nadzwyczaj wązka, pełna niewysychających nigdy kałuż i błota, którem przebiegające co chwila tramwaje obrzucają jasne ineksprymable przechodniów, a wśród niej snujące się czarne i żółtawe twarze o afrykańskich rysach, obciśnięte w europejskie garnitury — oto obraz kompletny ulicy Ouvidor.

Co godzina zaglądamy do Café do Globo w nadziei spotkania naszego brazylijanina — lecz mija godzina po godzinie, złocisty wóz Feba schronił się za góry, nawet posłaniec przy rzeczach pozostawiony niecierpliwie się zaczyna, choć brazylijanie cierpliwość mają anielską — a naszego towarzysza ani śladu. Nareszcie, około północy zjawia się ledwie żywy ze znużenia, z pomyślną wiadomością, iż na jednym z odleglejszych przedmieść znalazł w pewnym hotelu apartament z trzech pokoi, w którym się wszyscy pomieścić możemy, ponieważ, obyczajem amerykańskim, nie wynajmują w hotelach pokoi, lecz łóżka i całodzienne utrzymanie. Wdzięczność nasza nie ma granic, każemy się zawieść do hotelu „des Etrangers“. Mieszkanie okazuje się wcale znośnem, w pobliżu morza, z balkonem i widokiem na zatokę i *Pao de Azucar*. Cena skromna 7.000 reis dziennie od osoby. Razem z damami jest nas 6 osób, mieścimy się tedy w trzech pokojach wygodnie, M-lle Zézé przyjmuje obowiązki gospodyni. Mniej szczęśliwą była młoda para angielska, która poszła szukać mieszkania na własną rękę. Aby nie nocować na dworze, za drogie pieniądze odnajęli na noc pokój jednej z aktorek w „Eldorado“, i to dzięki protekcji towarzyszy podróży z pokładu „Congo“ i francuzkiej uprzejmości. Mieszkania są tu bajecznie drogie: pokój przyzwoicie umeblowany kosztuje 100 milreisów miesięcznie, a najuboższy wyrobnik niżej 12 milreisów miesięcznie kąta znaleźć nie może. Życie natomiast jest

w ogóle tańszem, aniżeli w niejednym z pomniejszych miast europejskich.

Nazajutrz wyruszamy na komorę celną po nasze bagaże. Ponieważ dzień był świąteczny i jedynymi interesentami było kilkunastu pasażerów „Congo“, sądziliśmy, iż sprawa niedługo potrwa. Smutne złudzenie! Wśród stosów pak i kufrów przechadzało się flegmatycznie kilkunastu dygnitarzy, na wszelkie prośby nasze odpowiadających stereotypowo: „spera um poco“, „logo“, „paciença“ lub „teñ tempo“, (zaczekaj pan trochę, zaraz, cierpliwości, mamy czas...) I ludzie uważają Anglików za flegmatyczny naród! niechby zobaczyli jak daleko sięgać może flegma brazylijskiego urzędnika... Wytrzymało nas w ten sposób 6 godzin, w końcu kazano zapłacić kilkadziesiąt tysięcy reisów cła bez wyszczególnienia oclonych artykułów — *por toudo*, t. j. wprost do kieszeni panów celników. Na dobitkę żaden z nich nie mówi inaczej, jak po portugalsku, tak iż z wielką trudnością porozumieć się z nimi przy pomocy znajomości hiszpańskiego języka mogę. Przy opłacie cła zdarzył się zabawny i charakteryzujący stosunki finansowe kraju epizod. Otrzymałem był przy wymianie pieniędzy w Lizbonie dużą złotą monetę brazylijską z portretem Dom Pedra, lecz bez wyszczególnienia jej nominalnej wartości. W kasie komory Rio Janeiro przyjąć mi jej nie chciano, jako monety zagranicznej. Moneta ta, wartości nominalnej 20 tysięcy reis, rzeczywistej zaś prawie podwójnej, w Brazylii tak jest rzadką, iż znają ją jako curiosum tylko wekslarze — w obiegu są wyłącznie papiery, miedź i nikiel. Srebrne talary (2.000 reis) równie w świat powędrowały.

Rio Janeiro nie posiada wybitnych gmachów, a piękność jego wewnętrzną stanowią liczne i obszerne ogrody publiczne i prywatne, które przyroda podzwrotnikowa przy pomocy ludzkiej wspaniale przybrała.

Najpiękniejszym z nich jest niewątpliwie słynny ogród botaniczny, położony o 12 kilometrów od środka miasta, u stóp Corcovado, w prześlicznej miejscowości. Całą długość ogrodu przecina wspaniała aleja olbrzymich palm królewskich (*oreodoxa oleracea*). Kępy drzew i bambusów są zapuszczone nieco, co jednak dodaje im jeszcze więcej dzikiego uroku, dając w miniaturze obraz dziewiczych puszczy wnętrza kraju.

Ciekawy zbiór drzew pożytecznych, w całej Brazylii dziko rosnących, posiada ten ogród. Wymienię kilka ważniejszych:

palisander, zwany *jacaranda*, *parkuri* (*Platonia insignis*) i *sukopirassu* (*Bowdichia major*) — o drzewie szarem, pięknie żyłkowanym, drzewo lukowe (*Tecoma chrysantha*, z którego twardego jak żelazo i sprężystego rdzenia Indjanie leśni wyrabiają swoje łuki; *piqui* i *Caryocar brasiliensis*), o rdzeniu jaskrawo-żółtym; *massaranduba*, koloru ciemno-czerwonego, *genipapo* barwy perłowo-szarej, *muiracotiara* (*Centrolabium* sp.), żółte w czarne pręgi, *muirapiranga* (*Mimusops balata*) — barwy purpurowej, drzewo szylkretowe, jedwabiste, fioletkowe, żelazne. Dalej cały szereg drzew kauczukowych, wreszcie sagowiec *Tagua* (*phytelephas macrocarpa*) z nad Amazonki, którego owoce całemi okrętami odchodzą do Europy pod nazwą roślinnej kości słoniowej.

Drugi ogród publiczny, *jardim d'Acclamação*, leży w śródmieściu. Starannie utrzymany, wielkości naszego ogrodu Saskiego posiada w środku artystycznie wykonany konny posąg spiżowy cesarza Dom Pedra I., twórcy brazylijskiej konstytucji. W jednym z zacisznych ustroni mieści się dalej prześliczna grota stalaktytowa, a wszystkie mostki i barjery w ogrodzie wyrobiono z cementu na wzór całkowitych pni drzew skamieniałych. W zaroślach migają oswojone aguti (*Dasyprocta americana*).

Obok ogrodu mieści się w starej ruderze narodowe muzeum, pozostające pod zarządem Dra Władysława Netto. Muzeum to posiada bogaty zbiór etnograficzny krajowy, dobrze wypchane brazylijskie jaszczurki i węże, oraz ładny zbiorek karpologiczny — inne działy bądź wcale nie istnieją, bądź też są śmiesznie ubogie. Dyrektor Netto człek gładki i uprzejmy, lecz nie mogący mieć pretensji do stanowiska poważnego uczonego, skarży się na brak ludzi, jest wszakże naprawdę bardziej zajęty sprawami t. zw. „polityki“, aniżeli zarządem powierzonego sobie muzeum.

Najmniejszym, lecz najstaranniej utrzymanym ogrodem miejskim jest Lapa, z tarasem wychodzącym na morze: istne pieścidełko, z palm, mangowców, bambusów i pnących się roślin złożone. W ogródku tym, ulubionem miejscu spacerowem, mieści się restauracja i grywa niekiedy czeska orkiestra wędrowną.

Bardzo uczęszczanym miejscem wycieczek jest góra Corcovado, panująca nad miastem od południa. Jedzie się do podnóża góry tramwajem przez *Laranjeiras* i przedmieście *Cosme Velho*. Góra Corcovado (garbus) jest całkowicie porośnięta lasem dziewiczym, wysoka około 700 metrów. Sylwetka jej zdaleka przypomina skurczoną postać ludzką — skąd nazwa.

Na szczyt góry prowadzi obfitująca w malownicze widoki kolej trybowa. Na szczycie mieści się restauracja i hotel, skąd widok wspaniały na całą zatokę i miasto się odsłania. Piękniejszego krajobrazu i bardziej karkołomnej drogi wyobrazić sobie trudno.

Na północ od stolicy, połączone z nią koleją, mieści się w malowniczej okolicy wśród gór lesistych — miasto Petropolis, dawna rezydencja cesarska, dzisiaj służąca już tylko jako miejsce wycieczek i willegiatury podczas letnich upałów.

Okolice Rio Janeiro dzikie i niedostępne, są bardzo mało zaludnione: tylko na wybrzeżu, w kierunku Cabo Frio, spotyka się kilka osad i liczne fazendy kawowe. Kolej łączy stolicę z jednej strony z głównym targowiskiem kawy w Sao Paulo, z drugiej z upadającym coraz bardziej okręgiem górniczym Ouro Preto w prowincji Minas Geraes, z jej kopalniami złota i djamentów.

Jakkolwiek Rio Janeiro nie jest, jak mniemał wspomniany wyżej brazylijanin, stolicą świata, niemniej jednak należy do najbardziej ożywionych portów handlowych na kuli ziemskiej, a byłby nim niewątpliwie więcej, gdyby nie żółta febra, która podczas skwarnych miesięcy letnich dziesiątkuje pracującą w cuchnących dzielnicach portowych ludność. Obrót handlowy brazylijskiej stolicy dochodzi do miljarda franków rocznie, komora celna pobiera przeciętnie 130 milionów franków na rok, liczba okrętów, corocznie zawijających do portu dochodzi do 5.000, a samej kawy wychodzi stąd 2½ miliony cetnarów metrycznych.

Na zakończenie rozdziału niniejszego trochę historii: Uroczą zatokę Rio, w języku krajowców zwaną *Niterohy* (woda ukryta) lub *Guanabara* (łono morza) odkrył w roku 1501 *Gonçalo Coelho*, a uważając ją za ujście rzeki, nadał jej nazwę od daty odkrycia — rzeką styczniową (Rio do Janeiro).

We trzy lata potem dotarł tu również żeglarz francuzki *Paulmier de Gonneville*, a wkrótce przesładowani we Francji hugenoci chronić się w te dzikie okolice zaczęli. Duszą tej emigracji był admirał *Coligny*, znana ofiara nocy św. Bartłomieja, wykonawcą zaś ówczesny dyplomata francuzki, *Mikołaj Durand de Villegaignon*, jeden z zaufanych dworzan Marji Stuart. Jesienią 1555 r. Durand założył na jednej z wyseppek zatoki fort, który nazwał fortem *Coligny* i nosił się z myślą założenia miasta

Henriville. Naiwna opowieść niejakiego *Hansa Stadena* z owych czasów jest wymownym dowodem, jak umiejętnie postępował Durand z bitnymi Indjanami *Tupinambas*, zyskawszy ich sympatję, gdy portugalczycy okrucieństwami swojemi ich śmiertelnie zrazili. Ów Niemiec, złapany przez kacyka *Koniam Bebe*, dzięki swej jasnej czuprynie uszedł niechybnej śmierci, wydając się Indjanom za Francuza. „No proszę“, miał powiedzieć wódz czerwonoskorców — „nie podobna już dzisiaj zjeść białego! nikt nie chce być portugalczykiem. Niedawno temu zjadłem pięciu — wszyscy zaklinali się, że są Francuzami“.

Durand niedługo wszakże tutaj pozostał. Portugalczycy i Holendrzy, którymi dowodził Polak — Krzysztof Arciszewski, za Jana Kazimierza „przełożony nad armatą koronną“, wyrwali sobie kolejno obiecującą kolonję.

Za Ludwika XIV. Francuzi ponownie usiłowali zawładnąć Rio Janeiro, zostali wszakże pobici, a dowodzący nimi kapitan *Du Clerc* zamordowany w więzieniu. Nowa wyprawa pod dowództwem *Duguay-Trouin'a* przybyła pomścić śmierć towarzyszy. Francuzi splądrowali miasto i ściągnęli nadto wysoką kontrybucję. Pamiątką z tej wyprawy jest dzwon alarmowy, zawieszony dzisiaj w kościele miasteczka *St. Malo* we Francji.

Wielka rewolucja francuzka znalazła oddźwięk również i w Brazylii pod postacią sprzysiężenia *Tomasza Gonzagi* w Minas Geraes, straconego w r. 1792 w Rio Janeiro wraz z jedenastu towarzyszami.

Wśród ogólnej zawieruchy wojen Napoleońskich, wygnana z Portugalii dynastia Orleańska schroniła się do Brazylii, a w 1822 powstało niezależne od Portugalii nowe cesarstwo Brazylijskie.

Po spokojnych i liberalnych rządach dwóch cesarzów, którym Brazylja cały swój postęp i rozkwit do zawdzięczenia miała, rewolucja wojskowa dnia 15. listopada 1889 proklamowała republikańską federację Stanów. We dwa lata później, twórca rewolucji, marszałek Deodoro da Fonseca, z kolei przed rewolucją wojskową ustąpić musiał i odtąd zaczyna się zamęt w stosunkach państwowych, który ostatecznie do rozbicia się zbyt rozległej, lecz mało zaludnionej i militarnie słabej federacji na mniejsze republiki doprowadzić kiedyś musi.

Każdy numer gazet, otrzymywanych z Brazylii zawiera wiadomości o coraz innej „rewolucji“ prowincjonalnej, kończącej

się, jak dotychczas, na pertraktacjach jedynie. Z chwilą atoli, gdy żywioł europejski, pragnący ładu i spokoju, górę w tym kraju weźmie, spodziewać się należy poważniejszych objawów niezadowolenia z panującej w młodej republice anarchii i samowoli urzędniczej.

Brazylijanów w ich własnym kraju czeka los hiszpańskich „hidalgos“ w Kalifornii — znikną pod naciskiem świeżych, zdrowych sił obcych przybyszów.

ROZDZIAŁ IV.

Polacy w Rio Janeiro. Echa bytności ks. Chełmickiego. Wrogie usposobienie prasy. P. Accioli da Vasconcelos. Odjazd z Rio Janeiro. Santos. Kolonja polska koło Sao Bernardo.

Od lat paru stolica Brazylii posiada towarzystwo polskie, mieszczące się w skromnym lokalu na Rua dos Invalidos i mające bardzo ubożuchną czytelnię. Towarzystwo to, pozostające pod zarządem pp. inż. Kwakowskiego i Jana Rybkowskiego, oddało wychodźcom naszym podczas tłumnej emigracji ostatniej nieocenione usługi, opiekując się nimi czynnie zawsze i wszędzie, wynajdując fachowe zajęcia dla rzemieślników, zatrudniając w miarę sił i możliwości wyrobników przy budowlach i przedsiębiorstwach rządowych, wreszcie odnajmując im po bardzo niskiej cenie mieszkania w specjalnie na cel ten wystawionych barakach. Zasługi p. Rybkowskiego były powodem, iż znane ze swej filantropijnej działalności towarzystwo katolickie św. Rafała mianowało go swoim przedstawicielem w Rio Janeiro.

Wobec faktów powyższych żałować należy, iż pp. Chełmicki i Glinka, wiedzący dobrze o istnieniu już jeżeli nie polskiego towarzystwa, to przynajmniej pp. Rybkowskiego i Kwakowskiego, jak ze wzmianki w książce ks. Chełmickiego (tom I, str. 120) przekonać się można, nietylko się z nimi nie poznali, lecz najstaranniej unikali z nimi zetknięcia. Gdyby się ks. Ch. pozbył niezrozumiałego w tym razie wstrętu, ochroniłoby to niezawodnie filantropijną missję jego od wielu niepowodzeń, a zwłaszcza od rzeczy smutnej, o której z przykrością wielką wspomnieć tutaj muszę, gdyż wywarła ona bardzo

<http://rcin.org.pl>

opłakane dla wychodźców skutki i przyczyniła się do tego, że zamiast wdzięczności, głęboką nienawiść do ks. Chełmickiego żywią. Chcę mówić o sposobie, w jaki wybranymi zostali kandydaci na powrót bezpłatny do kraju. Że wyboru tego w przeciągu dni paru, w obcym zupełnie mieście, bez stosunków dokonać niepodobna, łatwo to zrozumieć i w tej mierze właśnie zarząd towarzystwa polskiego „Zgoda“, znający stosunki osobiste i rodzinne większości emigrantów, zgromadzonych podówczas w Rio, mógł być najbardziej pomocnym. Tymczasem stało się to, co się stać było nie powinno, a o czym jestem przekonany, iż sami pp. Glinka i Chełmicki nie wiedzą — a to, że osoba, wybrana przez nich na pełnomocnika w celu wyboru najbardziej potrzebujących powrotu emigrantów, zawiodła ich zaufanie: po wyjeździe obu podróżników okazało się, iż osoba ta była zwykłym oszustem, który pod firmą ks. Chełmickiego od paru tysięcy emigrantów zaliczki na mające być darmo rozdaniem bilety jazdy wyłudził, a że biletów tych było tylko dwieście kilkadziesiąt — łatwo przewidzieć co potem wynikło. Oszust zbiegł do Sao Paulo, skąd znikł bez śladu, a setki oszukanych oblegały z groźbami konsulat rosyjski, domagając się odesłania do kraju, skoro za przejazd zaliczki od nich pobrano. Daremnie tłumaczył im zacny p. *Alvarez*, że są ofiarą oszustwa.

Skończyło się na krwawej interwencji wojska i przymusowym rozprószeniu „buntowników“ w zabójczych dla nich prowincjach Minas Geraes, Bahia, Pará etc.

Wieść o „szyfie“, co ma zabierać do Polski, rozniosła się szybko po kraju, tysiące ludzi rzuciło mozolnie zdobytą pracę, która im możność egzystencji, a po kilku miesiącach — uzbierania drobnej summy 90 franków, potrzebnej na powrót do kraju, zapewniała, opuszczając kolonje, plantacje, fabryki.

Niedość na tem — ci, co oszustowi choć drobnym datkiem opłacić się nie mogli, więc najubożsi, najbardziej powrotu potrzebujący, przedewszystkiem wdowy i sieroty po zmarłych na żółtą febrę emigrantach, nie otrzymali biletów powrotnych: jacy ludzie natomiast odjechali, poznamy z faktu, iż zarówno ja sam, jak brat mój, który po odjeździe moim rok cały jeszcze w kolonjach Parany przebył, wreszcie p. Stefan Barszczewski po nas obu zwiedzający Brazylję — spotkaliśmy wielu takich, co ponownie już do Brazylii powrócić zdołali, przywożąc ze sobą rodziny w kraju pozostawione; mieliśmy nadto w rękę listy też

kategorji wychodźców, proszące znajomych o przysłanie im „szyfkarty“ na powrót do Rio Janeiro.

Są wypadki, a do takich należała missja pp. Glinki i Chelmieckiego, gdzie lekkomyślność może ciężką krzywdę wyrządzić setkom ludzi, a całą akcję, przedsięwziętą w imię interesów społeczeństwa i za grosz publiczny, całkowicie sparaliżować. Missja p. Dygasińskiego rozbiła się o brak funduszków, a missja ks. Chelmieckiego o lekkomyślne i powierzchowne traktowanie sprawy sobie powierzonej.

Nie trudno byłoby p. Chelmieckiemu się przekonać, iż artykuł dekretu z dnia 28. czerwca 1890 r., zapewniający powrót na koszt rządowy do Europy wdowom i sierotom po zmarłych w Brazylii emigrantach istnieje tylko na papierze. W rzeczywistości zaś kobiety i dziewczęta wpadają w ręce żydków handlarzy żywym towarem, których tu jest sporo, małoletnie zaś dzieci, niewylączając 4-5 letniego maleństwa, zostały przez urząd kolonizacyjny oddane do przędzalni bawełny w *Rio Grande* obok Rio Janeiro, gdzie pracują za strawę i przyodziewek po 11 godzin dziennie.

Niepodobna z dokumentów urzędowych sprawdzić, ilu wychodźców polskich w czasie brazylijskiej gorączki tutaj przybyło. W każdym razie cyfry podawane przez dzienniki nasze były wielce przesadzone. Liczba emigrantów polskich z okresu gorączki Brazylijskiej nie przewyższa 80.000, z których wymarło około 15%, 8—10.000 poszło na plantacje i rozprószyło się po miastach niezdrowego pomorza, będąc prędzej czy później skazanymi na zagładę, o ile im się nie uda powrócić do kraju lub ściągnąć na południe; reszta, około 40.000, osiadła na kolonjach w Parana, Sta Catharina i Rio Grande do Sul, skupiając się później coraz bardziej około dawnych kolonij szląskich i galicyjskich w stanie Parana. Wysoka cyfra 80.000, którą podaję jako maximum, nie wyda się czytelnikowi tak straszną wobec stwierdzonego urzędownie faktu, iż ze wszystkich krajów zamieszkałych przez ludność polską corocznie emigruje za ocean już od lat dwudziestu 40—60.000 ludzi, a wśród ostatniej ruchawki brazylijskiej znajdowali się nie tylko włościanie z Płockiego i Kujaw, ale i Kaszubi, Poznańczycy, Mazurzy prusey, Szlązacy, Galiejanie, Rusini, Słowacy, Litwini, wreszcie rzemieślnicy polscy z głębi Rosji i ze Stanów Zjednoczonych. Rozmiary klęski przeto, wobec

zmniejszonego jednocześnie ruchu emigracyjnego do Ameryki północnej i Australii, są znacznie mniejsze niż zrazu sądzono.

Rozpuszczanym przez Kurjerki wieściom o gromadnem jakoby wyprzedawaniu się włościan naszych z ziemi, odpowiem cyframi sprawozdania urzędowego Komitetu statystycznego w Warszawie dla gubernii Łomżyńskiej, iż między emigrantami do Brazylii było:

włościan bezrolnych	— 45,9 ⁰ / ₀ ,
wyrobników (mieszczan)	— 39 ⁰ / ₀ ,
parobków dworskich	— 5 ⁰ / ₀ ,
włościan małorolnych	— 10 ⁰ / ₀ .

Dlategoż zamiast sentymentalnie lamentować i biadać bezskutecznie nad nieszczęściem wychodźców, należałoby raczej przy pomocy konsulatów, towarzystwa św. Rafała i duchowieństwa roztoczyć nad nimi opiekę w tych ogniskach, dokąd się udają po zarobek, chroniąc ich od wyzysku i oszustwa. Opieki takiej rządu austriacki i niemiecki udzielają stale swoim poddanym, pomimo obowiązkowej ich naturalizacji w Brazylii, a również i p. Piotr Bogdanow, rosyjski *chargé d'affaires* dla Brazylii i Argentyny, podczas kilkomiesięcznego pobytu swego w Curitibie i nowych kolonjach polskich, wiele nadużyć i wyzysku urzędową powagą swoją usunął, wdzięczną po sobie u wychodźców naszych pozostawiwszy pamięć.

Jak dalece przybywający do Rio Janeiro wychodźcy przyjaznej rady potrzebowali, i jak łatwo byłoby udzieleniem im takiej przez osobę, do której czułiby zaufanie — np. księdza (konsulatu się boją ze względów paszportowych) ochronić od ciężkiego losu, jaki sobie dobrowolnie przez nieświadomość stosunków i praw sobie przysługujących! zgotowali, dowodzi fakt, iż, mając sobie pozostawiony do woli wybór miejscowości do osiedlenia, zapisywali się na oślep, tylko podług brzmienia nazwy prowincji lub miasta, najwięcej mając predylekcji do nazw, noszących imię świętego, zwłaszcza jeżeli święty cieszył się ich poważaniem. Stąd fakt dziwny na pozór, że w pierwszych miesiącach po przybyciu zapisywali się uparcie do Santos i Sta Catharina, uważanych w Brazylii narówni z Syberją u nas, nietylko nienamawiani przez nikogo, lecz przeciwnie wbrew wszelkim perswazjom urzędników komisji emigracyjnej i inteligentnych rodaków. Trzeba było dopiero kilku tysięcy ofiar, pochłoniętych przez zabójczy klimat pomorza wśród niebawałych przytem upa-

łów letnich, aby prąd, owczym pędem się kierujący, odwrócić od złudnych zysków na plantacjach i w miastach portowych, ku rolniczemu osadom na południu, gdzie warunki bytu i klimat zdrowy oddawna już kolonistów niemieckich zwabiły. Trzeba było morza krwi i łez wylanych na to, aby przybywający z kraju nowi wychodźcy zastawali na ścianach domów emigranckich i statków transportowych, wszędzie, gdziekolwiek pisać się dało, jeden tylko napis niewprawnymi rękami poprzedników swoich wypisany: do Parana! Lakoniczne te napisy zdziałały więcej, niż najpiękniejsze obietnice plantatorów kawy i bawełny. Pochodził od swoich, siermiężnych, współcierpiących braci — jemu więc tylko wierzone. Napróżno brazylijscy urzędnicy go wyskrobywali i zamalowywali — jak feniks z popiołów, niewiadomą ręką kreślony, pojawiał się napis znowu jako jedyny drogowskaz. Chłop, którego marzeniem było posiąść kawał ziemi własnej, który dla tej nadziei, nie mogąc jej w kraju ziszczyć, ocean przepłynął, nie dał się zwieść obietnicom *fazendeirów*. Krążące wieści hiobowe o nieludzkiem obchodzeniu się dozorców, o oszustwach przy wypłacie, a zwłaszcza o tem, że tam ziemi nie dają, paraliżowały najświetniejsze obietnice. W djamenty i perły brazylijskie wierzyli tylko naiwni lub próżniacy, łatwych zysków pragnący. Chłop bezrolny, a takich była większość znaczna pomiędzy wychodźcami, tylko ziemi pragnął, wszystko znieść był gotów, lata całe czekać, aby do niej się nareszcie dostać. Wieści też krążyły nieuchwytnie, że tam, w tej obiecanej Paranie, są już Polacy, są kościoły i księża polscy.

Jak przedtem nikt do Parany iść nie chciał, tak teraz znowu nawet ci, co tam nie do czynienia nie mieli — rzemieślnicy, wyrobnicy i robotnicy fabryczni, żądali gwałtem odesłania ich do Curitiby, czemu zarząd kolonizacyjny sprzeciwiać się według wyraźnego brzmienia ustawy nie mógł. Każdy statek Lloyda, odchodzący na południe, zabierał więc setki emigrantów polskich do Curitiby. Tymczasem zaś uboga, bezludna niemal prowincja, nie rozporządzająca ani dostateczną ilością środków przewozowych, ani pomieszczeniem, ani funduszem odpowiednim do osadzenia w przeciągu kilkomiesięcznego terminu kilkudziesięciu tysięcy ludzi, nie przygotowana wcale na ten najazd polskich emigrantów, znalazła się w położeniu bez wyjścia. Codziennie niemal przybywały nowe partje, a w przepełnionych po brzegi przytułkach emigranckich wybuchły choroby epidemiczne,

z którymi walczyć było niepodobieństwem, zważywszy, iż prowincja, obszarem wyrównywająca Francji, posiada wyraźnie dwóch lekarzy i kilkunastu praktykujących farmaceutów.

Mimo to jednak, choć bieda doskwierała a stosunki administracyjne nie były lepsze niż w innych stanach brazylijskich, Parana stała się ostatnią stacją w tej tułaczce za chlebem i ziemią, do której powoli ściągają maruderzy, lecz skąd uciekają już tylko rzemieślnicy i wyrobnicy. Chłop został na roli, mozolnie zdobytej, a głównym czynnikiem, który wśród nich zwolna ład i porządek zaprowadza, nie było nic innego, jeno obecność księży polskich i kościołów. Jak potężnym jest wpływ księży na lud nasz za oceanem, przekonać się było można, gdy ksiądz Możajewski z Detroit, w przejeździe przez Buenos Aires przemówił od ołtarza kilka słów do zgromadzonej garstki brazylijskich rozbitków naszych — taki płacz głośny wybuchł w kościele, że najzawziętszy sceptyk rozczuliłby się do głębi. Świadek tej sceny, p. S. B. opowiada, iż Hiszpanie i Hiszpanki ze zdumieniem spoglądali na to nigdy nie widziane widowisko, a gdy po mszy ksiądz nasz wszedł do zakrystji, przełożony zakonu Redemptorystów, w których kościele msza się odbyła, rzekł do niego: „toć chyba świętym jest ten lud wasz polski! takiego bowiem przywiązania do wiary nigdyśmy nie widzieli“.

Dokąd zaprowadziła niektórych wychodźców naszych nieświadomość stosunków miejscowych, wymowny przykład pouczy: oto partja, złożona z kilkadziesiątu rodzin, pomiędzy którymi znajdował się były urzędnik policyjny, lokaj, stangret, kelner i t. p., nieco odczytani ludzie, uparła się, pomimo rad życzliwych, jechać do *Manaos* nad *Amazonkę*, gdzie, jak im ktoś mówił, miały być wyborne pastwiska i „bydła ile kto zechce“. Po roku brat mój spotkał w Rio Janeiro pięciu wynędzniałych biedaków: byli to jedyni pozostali z tej partji przy życiu ludzie. Resztę żółta febra zabrała.

Inne znów partje, pod przewodztwem jakiegoś mędrca, który awie klasy ukończył, postanowiła się udać do *Matto Grosso*, dokąd z Rio Janeiro podróż parowcem trwa tylko miesiąc i jedynie stanowe *veto* administracji brazylijskiej szaleństwa tego nie dopuściło.

Ale wracam do przerwanej wątki mojej opowieści.

Prasa stołeczna, rozdrażniona działalnością naszych poprzedników, a uprzedzona o celu naszego przybycia depeszą amba-

sady brazylijskiej w Paryżu, gorliwie się nami zajmuje, podejrzewając w każdym nowo przybyłym inteligentnym Polaku nowego emisariusza, wnoszącego bunt i nieład wśród mniej spokojnych elementów emigracji polskiej. Gazety nie szczędzą Polakom obelżywych epitetów, z których „*vagabundos e revolucioneiros*“ są jeszcze najbardziej parlamentarnymi.

Jeśli wierzyć ich elukubracjom, to emigracja polska była dziełem niemądrych agentów, którzy zamiast Niemców, na polskiego chłopca wędkę zarzucili. Najczulszą ich struną jest wszakże p. Adolf Dygasiński, którego nazwisko pokutuje codziennie w szpaltach dziennikarskich, z dodatkiem najbardziej w ich mniemaniu obelżywego epitetu „*judeo*“, i, o dziwo, zupełnie poprawnie wypisane. Księżda Chełmickiego traktują względniej nieco, choć z równą nienawiścią. Hempel żali się, iż za nim agent komissji emigracyjnej i policjant chodzą od dnia jego przybycia jak cienie nieodstępne, utrudniając mu ile możności swobodną rozmowę z emigrantami, i towarzysząc mu nawet stale w wycieczkach na prowincję. Gdyby nie herkulesowa postawa mego przyjaciela, wzbudzająca poszanowanie w tchórzliwych brazylijanach, byłiby go niezawodnie sprzątnęli gdzieś cichaczem.

Pragnąc położyć kres temu nieznośnemu szpiegowaniu i szykanom, udałem się do dyrektora departamentu kolonij (*das terras e colonisação*), p. *Accioli da Vasconcelos*, do którego miałem polecenia urzędowe.

Wysoki, gruby mulat z czarnym zarostem i pierścionkami na wszystkich palcach, przyjął mię bardzo kwaśno i rozwodzić się począł o krzywdach, wyrządzonych rządowi brazylijskiemu przez tendencyjne korespondencje Dygasińskiego i Chełmickiego; wychwalał zacne intencje swego rządu, wreszcie radził mi zaniechać projektowanej podróży do stanu Parana, przedstawiając niebezpieczeństwa i trudy takiej wycieczki, oraz ubóstwo tego kraju, w którym jego zdaniem nie do zrobienia niema, i ludzie z głodu ginąć muszą, bo tam kawa nie rośnie. Radził mi natomiast udać się do Sao Paulo na fazendy kawowe; o których nawet sceptyczny ksiądz Chełmicki miał przychylną wyrazić opinię.

Wysłuchawszy cierpliwie długiego opisu krasomówczego p. dyrektora, w odpowiedzi zażądałem uwolnienia moich towarzyszy od policyjnej kontroli, i upoważnienia do urzędowej rewizji domów emigranckich na prowincji, oraz kolonij nowo za-

łożonych w stanie Parana, dokąd się od niejakiego czasu, wbrew życzeniu potrzebujących robotnika fazendeirów, wszysey Polacy tłumnie zapisywali.

Nazajutrz urzędnik z bióra p. Vasconcelos przyniósł mi do hotelu list polecający do delegata „das terras e colonisaçáo“ p. *Carvalho* w Curitibie, oraz trzy bilety wolnej jazdy na statku „Desterro“, odpływającym następnego dnia do Paranagua.

Tegoż samego dnia, jedno z pism najpoczytniejszych w stolicy „*Gazeta de noticias*“ umieściła długi artykuł, pod tytułem „*um polaco mais*“, z lekka, choć w grzecznej formie, przeciwko wyprawie mojej wymierzony, a nieszczędzący ostrych docinków pod adresem korespondentów polskich, zwłaszcza Dygasińskiego, który stał się w Brazylii postacią legendarną i zmorą urzędu kolonizacyjnego.

14. sierpnia jesteśmy na pokładzie wraz z partją 500 emigrantów włoskich i hiszpańskich, wysyłanych do Santos. Przechadzając się po pomoście dostrzegłem naraz kilkanaście postaci, których obecność mię zdziwiła, w liście bowiem pasażerskiej Polaków nie było — tymczasem zuchowato nasadzone na ucho maciejówki, konopiaste czupryny dzieci i czerwone chusty dziewcząt nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, iż mam przed sobą „bryzolanów“ z nad Wisły. Zaczepiam jakiegoś starca — ten podejrzliwie mierzy mię okiem i nic nie odpowiada. Zwracam się do jakiejś dziewczuchy — ta znów z czysto słowiańskim gestem zakłopotania głowę odwraca. Natrafiam wreszcie na gromadkę żydów z Warszawy, Kijowa i Odessy, którzy są rozmowniejsi i niezadługo mam rozwiązanie zagadki. Dzwon okrętowy obwieścił godzinę obiadową: emigranci, skupieni gromadkami po 5 osób, wysyłają jednego z pomiędzy siebie z blaszaną misą do kuchni. Agent emigracyjny i oficer służbowy pilnują porządku. Narodowoci idą po sobie kolejno, a jednocześnie obok oficera służbowego staje odpowiedni tłumacz. Wywołują naprzód włochoń, hiszpanów, niemców, wreszcie słyszę wołanie: „os ingleses!“ Żydek jeden mrugnął na naszych, i do uszu moich doleciało słów kilka po polsku wypowiedzianych: „Kaśka, a dyc spiesz się bo na nas wołają!“ Żydek jest tuż przy Kaśce, i odpowiada za nią łamaną angielszczyzną rudemu irlandczykowi, pełniącemu obowiązki tłumacza; oficer uśmiecha się dobroduszenie, udając iż wierzy w angielską narodowość tej hożej miss z pod

Włocławka. Wywołują nazwiska: John Ludlow! James Brown! Katty Price! — „ja“ odpowiada ktoś za każdym razem.

Okazało się, iż była to gromadka wychodźców kujawskich, która przybyła do Bremy w chwili, gdy na żądanie pp. Chełmickiego i Glinki Lloyd przestał Polakom udzielać bezpłatnych biletów jazdy do Brazylii. Żydek impressario wywiedzia! się zaraz, iż zakaz ten wyłącznie do Polaków i do Lloyd'a się stosuje — poradził przeto pojechać najprzód do Anglii, a z Liverpoolu, jako Anglików, bez przeszkody do Rio Janeiro ich odstawiono. Z obawy, aby, gdyby się wykryła ich narodowość, nie kazano im za przebytą podróż zapłacić, milczeli uporeczywie w naszej obecności, i dopiero później, już po wylądowaniu, udało nam się ich zaufanie pozyskać i języki rozwiązać.

Płyniemy w pobliżu brzegów, mając wciąż przed oczami niezmienny krajobraz wysokich, stożkowatych gór granitowych, porośłych gęsto ciernistemi krzakami, z których wynurza się gdzieś tam przybrany w girlandy ljan *bombax* lub palma królewska. Zrzadka tylko widnieje wśród zieleni pojedyncza fazenda lub mała wioska rybacka.

Nazajutrz o południu „Desterro“ wpływa do głęboko werzniętej pomiędzy kilka cyplów granitowych wąskiej zatoki Santos, mającej wiele podobieństwa z zatoką Rio de Janeiro. Ograniczają ją z obu stron dwa równoległe do siebie pasma górskie, gęstym porośle lasem, a płaskie, bagniste brzegi pokrywają zarośla ryzoforowe. U wejścia zatoki mijamy bardzo malowniczą, omszoną wiekiem i nawpół rozwaloną forteczkę, zdradzającą architekturą swoją pochodzenie z czasów panowania holenderskiego.

Nigdzie nie widziałem tak wielkiej ilości meduz, co w Santos. Osobliwsze te zwierzątka, mające kształt jarmółek z pękiem czulków u spodu, barwy szarej lub różowej, mijają co chwila nasz statek.

Santos jest przystanią stanu Sao Paulo, należącego do najruchliwszych i najbogatszych w Brazylii, posiadającego sieć kolejową 2000 kilometrów długą, i wywożącego kawy 116 milionów kilogramów rocznie, t. j. blisko $\frac{1}{3}$ całej produkcji brazylijskiej. Szkoda tylko, że warunki zdrowotne Santosu są tak opłakane, iż podczas upalnego lata nawet rodowici Brazylijanie wytrzymać tu z powodu żółtej febry nie mogą.

Dla osób, nieobeznanych z zakulisowemi tajemnicami zamorskiego handlu, niezrozumiałym będzie szczegół, o którym pisze w podróży swojej po Ameryce Jonin — były poseł rosyjski w Rio Janeiro. Zastał on w porcie Santosu statek finlandzki naładowany — deskami sosnowemi! — a jednak rzeczą jest oczywistą, że się z palisandru ani mahoniu nie da zrobić podłogi w domu mieszkalnym, wyrobienie zaś desek z araukaryj, rosnących w głębi kraju, i przewiezienie takowych koleją na pomorze wypada o wiele drożej, aniżeli przywiezienie takowych na żaglowcu z Finlandji lub Stanów Zjednoczonych. Dzisiaj, od czasu założenia w górach kilku tartaków przez kolonistów polskich, stosunki się zmieniły w samem Santos — lecz pozostały niezmiennemi dla wielu innych miast gorącego pomorza brazylijskiego, jak i bezleśnej Argentyny. Przy budowie np. kolei z Paranagua do Curitiby — podkłady sprowadzone aż z Chile — o 20 dni drogi parowcem!

Dalej przywożą tutaj w znacznej ilości mąkę pszenną z Nowego Jorku, jakkolwiek w głębi kraju wielu osadników sieje pszenicę, dającą 30—40 ziarn — lecz brak całkowity młynów i środków transportowych uniemożliwia konkurencję z Europą. Nawet kukurudzę, dając tutaj 200 ziarn bez żadnej uprawy, miasta portowe sprowadzają z Europy.

Kartofle dowożą się tutaj z Hiszpanii, Portugalii i Anglii nawet, a hamburskie cygara tutaj, w ojczyźnie tytoniu wyborowego, olbrzymi mają odbyć. Wiele przywożą tutaj również z Europy wina, jabłek, gruszek i t. d.

Ale oto jeszcze jeden fakt dziwaczny, podany przez tegoż p. Jonina: w prowincji Sao Paulo istnieje w miasteczku Ipanema kopalnia bardzo czystej rudy żelaznej oraz jedyny w Brazylii wielki piec do wytapiania surowca, urządzony wzorowo przez rząd brazylijski. — Otóż połowę potrzebnej dla pieca rudy sprowadzają z Europy! bo taniej im wypada.

Jak olbrzymim rynkiem zbytu dla produktów europejskich jest Brazylja, uwydatni dostatecznie okoliczność, iż w r. 1889 np. Francja wywozła towarów do Rossji zaledwie za 18,000.000 franków, do Brazylji zaś, zaledwie nieco więcej ponad 10 milionów ludności liczącej — za całe 63,000.000 franków. Komentarze są tutaj zbyteczne.

Miasto nie jest wielkie, lecz nadzwyczaj szeroko rozrzucone, a ponieważ oprócz agentów handlowych nikt tutaj stale

nie mieszka, nie odznacza się niczem wybitnem. Ulice stosownie do pogody pełne kurzu lub błota, w szachownicę pocięte; nizkie domki, żadnego okazalszego gmachu.

W porcie spotykamy kilkunastu emigrantów polskich w bardzo smutnym stanie. Należą oni do kategorii dezertersów z kolonij rolniczych, wyczekujących sposobności powrotu do kraju. Pracują jako tragarze lub pomocnicy murarscy, zarabiając z trudnością na życie, a częste choroby mozolnie zgromadzone oszczędności pochłaniają. Jak we wszystkich miastach portowych jest też tutaj kilkudziesięciu rzemieślników naszych, a zapewne i ktoś z inteligencji, jak mię zasłyszana z ulicy rzewna nuta polskiej piosenki, przy akompaniamencie fortepjanu dźwięcznym sopranem spiewanej, przekonała. Podczas gorących miesięcy Santos się wyludnia, a kto tylko może przejeżdża do sąsiedniego S. Paulo lub S. Bernardo, położonych w zdrowym górskim klimacie.

Mając parę godzin czasu do rozporządzenia, idziemy zwiedzić schronisko dla emigrantów, umieszczonych w sali miejskiego teatru. Dozorca brutalnie nas odpycha, lecz na widok koperty z pieczęcią ministerjalną pokornieje w jednej chwili, zgięty w pałąk zaczyna nas tytułować „*Excellenza*“ i „*Vossignoria*“, wreszcie sprowadza komisarza, który nas po wszystkich oprowadza zakątkach. W wielkiej sali, nie posiadającej innego umeblowania oprócz mat słomianych, rozesłanych na kamiennej posadzce, leży pokotem ze trzystu włochów, oczekujących wysłania do Sao Paulo. Łoże przy pomocy ażurowych przepierzeń przerebiono na małe kajuty dla kobiet i honoratiorów przeznaczone. Obok teatru, w szopie odkrytej, gotują strawę, złożoną, jak na okręcie, ze świeżego mięsa, ryżu, czarnej fasoli, kawy i pszennego chleba. Zbytnią czystością to nie grzeszy, ale dawane dwa razy dziennie wystarcza w zupełności. Zresztą włosi nie są tak potulni jak emigranci nasi, i o prawa swoje głośno upominać się zwykli. Wogóle zaznaczyć muszę, że nie słyszałem nigdy, aby się emigranci na jadło podczas pobytu na okręcie i w miejskich barakach emigranckich uskarżali — pożywienie dają zdrowe i posilne. Bieda zaczyna się dopiero na dalszej prowincji, gdzie i o nadzór trudniej i artykuły żywności w niedostatecznej ilości i lichym gatunku przychodzą. Włóścianom naszym brakuje wszakże razowego chleba i kartofli, których im ani kawa, ani wino, ani ryż nie zastępują, a które uchodzą tutaj za artykuły zbytku.

W stolicy stanu Sao Paulo, oddalonej od Santos o kilka godzin jazdy koleją, jest kilkuset rzemieślników i wyrobników polskich, równie jak w Rio Janeiro, w przeważnej części czasowo dla zarobku przybyłych. Ogniskiem ich jest istniejące od kilku lat towarzystwo dobroczynności (Sociedade Beneficencia Polaca) pod kierunkiem pp. Jabłońskiego i Blocha.

W środku pomiędzy S. Paulo i Santos, w pobliżu stacji Sao Bernardo, leżą dwie osady polskie Rio Pequeno i Capivari. Oto co pisze o nich p. S. Barszczewski w korespondencji swojej do jednego z dzienników galicyjskich:

„W Rio Janeiro nikt z naszych nie wiedział o istnieniu „tych dwóch placówek polskich, to też zdziwiłem się bardzo, „przybywszy do Sao Paulo, gdym o nich usłyszał. Ma się rozu- „mieć, że postanowiłem je zwiedzić.

„Wyjechałem więc z p. Adolfem Blochem, przewodniczą- „cym tutejszego towarzystwa polskiego, koleją, prowadzącą do „Santos. Po półgodzinnej jeździe stanęliśmy na stacji San Ber- „nardo. Ze stacji ruszyliśmy powozem do miasteczka, stamtąd „zaś konno do kolonji.

„Odległość stacji Sao Bernardo od Sao Paulo wynosi 20 „kilometrów, od stacji do miasteczka 6 kilometrów, stamtąd zaś „do kolonji 14 km. Obydwie kolonje stykają się ze sobą, od środka „jednak Rio Pequeno do środka Capivari liczą przeszło 5 km.

„Położenie ich jest piękne. Leżą one wśród gór i lasów „dziewiczych na wysokości 750 metrów nad powierzchnią morza. „Przeciętna temperatura wynosi +18-80 C.

„Powietrze jest zdrowe. Komunikacje znośne. Niewielka sto- „sunkowo odległość od miasta ułatwia zbyt produktów pracy i naby- „cie artykułów niezbędnych do użytku domowego. Od niedawnego „czasu istnieje na kolonii sklep spożywczy, założony przez p. „Blocha, przez co koloniści nie są narażeni na stratę czasu „i brnięcie, często po kolana w błocie, dla nabycia byle jakiej „drobnostki u kupców w Sao Bernardo. Sklep ten i pod tym „względem ma wielkie znaczenie, że wyrwa kolonistów z rąk „wendzisty (kupca brazylijskiego), dającego na vale (kwitki „rządowe za robociznę), zdzierającego niemiłosiernie, i będącego „zwykle w spółce z dyrektorem kolonji.

„Na obu kolonjach jest przeszło 120 rodzin polskich.

„Główny dochód kolonistów stanowi drzewo budulcowe. „Prawie wszyscy zajmują się trzcawką. Blżsi drogi, prowadzącej

„do miasta, pracują na własny rachunek, dalsi zaś wynajmują się pierwszym dziennie lub pracują od tuzina zerzniętych desek.

„Praca tu wre na każdym kroku.

„Wśród wielkich wyrębów leśnych wznoszą się chaty z desek lub bali pobudowane, kryte liśćmi palmitów, zupełnie podobne do tych dalekich, naszych, polskich dworców szlachty zaściankowej. Na każdej chacie, na każdym kroku znać piętno ciężkiej, mozolnej pracy, długiej walki o ten kawałek wykarczowanego gruntu, jednocześnie jednak, jak uśmiech lepszej doli, błyszczą ścieżki starannie ubite i przyozdobione pękami kaktusów, małe ogródki kwiatowe, lub bielone ściany chat niektórych, wzorzysto malowane przez domorosłych artystów. Dobrze, gdzie były piła, dłuto i pomoc rąk innych; jak często jednak tylko rąk para i topór las trzebiły, belki rąbały i stały chatę od podwalin do szczytu dachu! Rezultat takiej wytrwałej pracy widziałem na kolonji Capivari u kolonisty Niedzielskiego.

„Obok każdej chaty zielenią się mniej więcej liczne zagony kapusty, sałaty, buraków, grochu, marchwi, pietruszki i innych warzyw. Pośród pni wypalonych widnieje kukurydza, gdzie indziej zaś z ziarenek przypadkowo znalezionych wyrosły pęki jęczmienia lub żyta.

„Jakże dziwnie wyglądają te wyniki pracy dwuletniej obok kilkudziesięcioletniej pracy rzadkich kolonistów brazylijskich. Tu chęć działalności, życia; tam ospałość i niedołęztwo. Tu domy mieszkalne z desek, starannie wykończone i ozdobione, tam poprostu chlewy z chrustu i gliny, pełne szpar i dziur, bez najmniejszej oznaki dbałości o jaką taką wygodę. Tu wozy lekkie, o kołach szprychowych, tam ciężkie arby z kołami cięższymi od wozu, wyciętymi z jednego kawałka drzewa. I tak bez końca.

„Narzekają brazylijanie na naszych, przeklinają wychodźców, zwąc ich „vagabundos e revolucioneiros“, a jednak dzięki im tylko, niedostępne przedtem nietylko dla człowieka, ale nawet dla zwierzęcia, miejsca, stają się ogniskami życia. Dzięki im tylko nędzne osady jak Sao Bernardo, Curitiba, Rio Negro i inne stają się stopniowo miastami pełnymi widoków rozwoju.

„Żałują oni sum wydanych na tę emigrację, widząc tysiące nieponiów i żebraków, okradających lub żebrzących po miastach,

„nie zważają jednak na to, iż ta mała część, która osiadła
„i pracuje szczerze, wytworzy więcej przez lat dziesiątek, niż
„dziesięciokrotna liczba Brazylijan zdolalaby przez wiek wy-
„tworzyć.

„Skończywszy z nędzą, zaczynają myśleć koloniści o po-
„trebach duchowych. Trzeba widzieć i słyszeć, by uwierzyć
„jak gorąco ich zaspokojenia pragną. Kawał starej gazety pol-
„skiej lub książka z powyrywanymi kartkami z rąk do rąk kur-
„suja; kilka słów polskich dobitnych, lecz serdecznych i prawdo-
„mównych do tego ludu przemówionych — łyzy i uniesienie
„wywołują.

„Podczas pobytu mego w Sao Paulo, postanowiło tamtejsze
„towarzystwo Polskie rozszerzyć swą działalność na kolonie Rio
„Pequeno i Capivari. Dla omówienia tej sprawy wybrano mia-
„steczko Sao Bernardo. Rannym pociągami przybyli ze sztanda-
„rami członkowie towarzystwa z Sao Paulo, z kolonji piechotą
„i konno przywędrowało kilkudziesięciu kolonistów. Ruszono po-
„chodem przez miasto. Wśród konnej eskorty powiewał przodem
„sztandar towarzystwa. Trzeba było widzieć, z jaką dumą spo-
„glądały nań te dziesiątki twarzy ogorzałych, z jaką gotowością
„zapisywali się w poczet członków towarzystwa i składali pie-
„niądze“.

ROZDZIAŁ V.

Odjazd z Santos. Paranagua. Zajście z policją. Wychodźcy. Kolej
do Curitiby. W stolicy stanu. Dawne kolonie polskie. Przyroda.
Yerba mate.

Po kilkogodzinnym pobycie, opuszczamy Santos wieczorem,
podziwiając śliczne efekty kolorystyczne zachodu słońca, jakie
tylko w tych szerokościach oglądać można: niebo pomarańczowej
barwy odcina się jaskrawo od zębatych konturów czarnych, ko-
ronką lasów uwieńczonych, gór i zielonej powierzchni wody, mie-
niącej się fioletowymi blaskami.

16. sierpnia z rana, przez cieśninę pomiędzy wyspami, po-
rosłemi lasem kokosów, wplywamy do obszernej zatoki Bahia

da Paranagua, zamkniętej przez wielką deltę, pokrytą ryzoforami.

Te ostatnie, znajdując się na południowej granicy swego rozsielenia, posiadają wygląd znacznie skromniejszy, niż w równinowych okolicach Ameryki. Niema tu wysokich pni ze związającymi girlandami korzeni powietrznych, ani tych prawdziwych koszów z korzeni i konarów, pomiędzy którymi podczas odpływu jeździec z koniem się chowa: zarośla w Paranagua są szarozielonemi krzakami, zdaleka przypominającemi naszą wiklinę.

Obszerna, dobrze zasłonięta górami zatoka rozdziela się na dwie odnogi, przy których leżą Paranagua i Antonina, dwa główne miasta portowe prowincji, połączone koleją z wnętrzem kraju.

Przed nami płaskie, lesiste wybrzeże, wśród którego bieleją zrzadka rozsiane schludne domki kolonistów włoskich, kryte czerwoną dachówką.

W oddaleniu paru mil od brzegu piętrzy się wysoki mur granitowy, do 1200 metrów ponad poziom morza wzniesiony: to — *Serra do Mar*, krawędź wielkiego płaskowyżu, obejmującego całe południe Brazylii aż do granic Paragwaju i Argentyny, gdzie wśród borów sosnowych rozsiadły się szeroko europejskie kolonje rolnicze, wydzierając każdą piędź ziemi dzikiej przyrodzie, botokudom i półdzikim „carbocos“ brazylijskim.

Panorama zatoki, okolonej wysokimi, lesistemi górami, bardzo malownicza.

Wsiadamy do łodzi, powożonej przez dwóch tęgich murzynów i po kwadransie jazdy, ominawszy zakrywającą widok zieloną deltę, stajemy przy jedynym zajeździe, szumnie „Hotel do comercio“ nazwanym, utrzymywanym przez niemkę o portugalskiem nazwisku, którą podejrzewam o pochodzenie z Berdyczowa lub Nalewek.

Miasteczko Paranagua malutkie, opuszczone, składa się z dwóch tylko ulic, równoległych do wybrzeża. Znać na niem lepsze kiedyś czasy — wiele porządniejszych domów i stary kościół jezuicki stoją w gruzach. Wybrzeże, pięknie wybrukowane, zdobi kilka pięknych palm. Snują się po niem tragarze murzyni i dwukołowe frachtowe wozy, również przez murzynów powożone. Miasto posiada nadto kawiarnię, stację kolei, „hotel emigrancki“, urząd celny, komisarza policji, kilka domów komisowych, będących zarazem konsulatami Włoch, Francji, Niemiec,

Austrji i Danii, oraz nieproporcjonalnie wielką ilość szynków. Prawie w każdym sklepie, bez względu na rodzaj sprzedawanego towaru — handlują także i wódką.

Hotel nasz jest piętrowym budynkiem, złożonym z sali jadalnej i saloniku z balkonem, skąd rozległy widok na zatokę i góry się roztacza. Naokoło salonu, lekkimi tylko przepierzeniami z bambusu oddzielone, mieszczą się małe ciemne alkowy dla pasażerów.

Tuż obok miasta rozściela się obszerna łąka, na której w przejeździe widzieliśmy roje ptactwa wodnego. Zaledwie tedy zdążyliśmy się umieścić w zajeździe i załatwić formalności celne, gnani żyłką myśliwską pobiegliśmy tam z dubeltówkami, w nadziei upolowania białej czapli, której piękne pióra są tak cennie na pióropusze do kopaków. Ptak to jednak nader ostrożny, i pomimo, iż było ich na łące mnóstwo, wszelkie strategje nasze pozostały bez skutku. Znaleźliśmy natomiast nieco bekasów, podobnych do naszego dubelta (*Gallinago Paraguaiae*), a co znowu mniej specjalnie ucieszyło — pagórek, złożony całkowicie z wybornie zachowanych muszel kopalnych z miocenijskiej epoki.

Na słonym gruncie ryzoforowego bagna zapadamy się co chwila w nory krabów, których tu są mirjady. Zabawnie wyglądają te jaskrawo zabarwione zwierzątka, uciekające bokiem z wielką szybkością do nory za zbliżeniem się człowieka. Udaje mi się jednak sporą kolekcję tych ciekawych raczków, właściwych bagnetom słonym, nazbierać.

Kujawscy „anglicy“ rozpuścili już snadź wieść o naszym przybyciu pomiędzy polonję, gdyż za powrotem do miasta spotykamy gromadki włóścian, uchylające przed nami czapek z tradycyjnym naszym „niech będzie pochwalony“. Kilkunastu wyrostków, stojąc po kolana w wodzie, łapie ryby na wędki, a przed zajazdem snują się gromadki ciekawych, spoglądając na balkon naszego mieszkania.

Po obiedzie idziemy do emigrantów. Za schronienie służy im położony obok dworca kolei nawpół rozwalony budynek, wyglądający na dawny klasztor. Na łózkach z bambusu na prędcie skleconych, zasłanych słomianemi matami, w kilku celkach mieści się w ciasnocie straszliwej około czterdziestu rodzin, przeważnie z Płockiego i Kujaw. Wraz z nimi kilkunastu rusinów galicyjskich. Opodal gromada dziatwy bawi się hałaśliwie pod dozorem grubego mulata. Dzień był świąteczny, wieczór cichy i pogodny,

większość przeto emigrantów odpoczywała na murawie lub zebrani w małe gromadki — śpiewali godzinki i litanje.

Lody nieufności przysły łatwo, wielu Płocczan znało Hempla z kraju, inni widzieli go w barakach Pinheiro, gdzie ich odwiedzał. Otoczyli nas wieńcem, rozpytując gdzie i kiedy ziemię dostaną. Żalą się przytem, że przetrzymawszy ich po kilka miesięcy w Pinheiro i tutaj każą im jeszcze czekać z nieustannem brazylijskiem „paciença“, namawiając do osiedlenia się w pobliżu Paranaguy, mimo iż wszyscy, gnani instynktem samozachowawczym, żądają uporczywie odesłania do Curitiby, do swoich. Już razu jednego i furmanki zajechały i wsiadać im kazano, ale, ponieważ mówiono im w Pinheiro, że do Curitiby koleją jechać trzeba, poznali zasadzkę i opór stawili, za co pan „komisarz“ okrutecznie się gniewał, i cosik po brazylijsku do tłumacza wymyślał.

Ściemniło się tymczasem, i aniśmy się spostrzegli, jak ów tłumacz — zezowaty rudy szlżak, w asystencji dwóch policjantów znalazł się przy nas, w sposób niekoniecznie grzeczny oświadczając nam, iż z emigrantami rozmawiać nie wolno, poczem z tryumfalną miną policjanci poprowadzili nas wszystkich przed oblicze samego komisarza. Nie zastawszy go w domu, odnajdujemy wielkiego dygnitarza w miejscowej kawiarni. Tłumacz coś mu szepnął do ucha i wyniósł się czekając rezultatu za drzwiami. Policjanci z zadowoloną miną stanęli we drzwiach z bronią u nogi. Zanim wszakże komisarz usta zdążył otworzyć, nie mówiąc, położyłem przed nim ministerjalną kopertę, której widok odrazu wywarł wpływ magiczny. Zamiast zamknąć nas do kozy, urzędnik z miłym uśmiechem zaproponował nam filiżankę kawy i nieproszony zaczął usprawiedliwiać się z zarzutów, których treść już mu tłumacz był doniósł. „Pragnął tylko „dobra tych ludzi — w Curitibie baraki przepelnione, choroby „panują a tutaj w pobliżu jest do rozdania kilkadziesiąt wybor- „nych „lotów“ w górach, w zdrowej okolicy, gdzie Polakom „będzie jak w raj — nawet są już tam niektórzy“. Wreszcie prosił nas, abyśmy namówili emigrantów upartych do wybrania delegatów, celem obejrzenia chociażby owych cudów. Oświadczyłem gotowość pośrednictwa, atoli z warunkiem, iż kolonje owe sam najsamprzód obejrzę i sprawdzę dokładność informacyj p. komisarza. Na pozór zachwycony, oświadczył, że jutro o świcie stawi się z wierzchowemi końmi dla nas.

Czekaliśmy napróżno dzień cały, wreszcie przed odejściem pociągu do Curitiby dnia następnego wysłałem do komisarza kartkę pożegnalną w dość ostrej formie, której skutek był taki, że w pół godziny potem zjawił się z przeprosinami, wymawiając jakimś błahym powodem. Okazało się później, iż komisarz, nadużywając swojej władzy, chciał koniecznie wpechnąć Polakom kilkanaście „lotów“ w okolicy Morretes, będących jego osobistą własnością, a z których dawniej osiedleni koloniści włoscy i hiszpańscy uciekli.

Dekonfitura komisarza, tłumacza i policjantów ogromnie nas wywyższa w oczach emigrantów, którzy już teraz otwarcie zwracają się do nas ze skargami na nadużycia administracji i żądaniami swojemi, czując w nas jakichś „starszych“ — choć ani tu ani później na kolonjach nie mogli w żaden sposób zrozumieć, cośmy za jedni i w jakim pozostawaliśmy stosunku do czapkujących przed nami brazylijskich urzędników. Humory i fantazja poprawiły się, nadeszła bowiem depesza z Curitiby, aby całą partję wysłać dalej, i właśnie specjalny pociąg na dworcu ich oczekiwał. Z górami, których się mieszkańcy mazowieckich nizin z początku okrutnie boją, oswoili się już w przejazdach koleją do Pinheiro i Sao Paulo, a otucha w nich wstępuje na wiadomość iż w Curitibie zastaną kościół i księdza polaka.

Z pewnem zadowoleniem uważamy, iż w tej właśnie partji niema łotrzyków, szukających pereł i djamentów w obiecany kraj, lecz wyłącznie bezrolni włościanie, których upragnionem marzeniem jest otrzymanie własnego gruntu. Ci też zawodu nie doznają, sarkają tylko na zbyt długie czekanie bezczynne po barakach emigranckich. Stan zdrowotny wogóle dobry — tylko jedno dziecko ze złamaną nóżką, najniedorzeczniej przez rodziców leczone, ma febrę. Policjanci odprowadzają zalewającą się łzami matkę chorego dziecka z powrotem do baraku, choć im się przemocą wyrывa. Z trudnością wielką udaje nam się jej wytłómaczyć, że za kilka dni dogoni swoich i że tylko ze względu na dziecko, któreby w przepełnionym choremi szpitalu Curitiby opieki mieć nie mogło, tutaj pozostaje. Szlochając, zgadza się babina z koniecznością, mąż ukradkiem łzy ociera, szturchając ją z lekka w bok: cichaj Magda! choć z oczu obojga widać, że uważają się za nieodwołalnie skazanych na śmierć i wieczne rozłączenie z towarzyszami niedoli. Tamci odjeżdżają już do upragnionych gruntów, a oni tu pozostać muszą, kto wie

na jak długo... Uspakajamy ich nadzieją, że nazajutrz nowa partja Polaków z Pinheiro przybędzie, gdzie odnajdą znajomych ludzi i ostrzegamy, aby się od zamiaru nierozdzielania z towarzyszami nie dali żadnemi obietnicami odwieść. Jak tam będzie — niewiadomo, a w kupie człek zawsze bezpieczniejszy.

Pociąg emigrancki odjeżdża, Maćki czapkami machają — do widzenia w Curitibie!

O 11ej rano i zwykły pociąg pasażerski do Curitiby jest gotów do drogi.

Lecimy zrazu wśród zupełnie płaskiej, napływowej równiny; bagna naokół, bambusem, mimozą i palmami porośłe; gdzieniegdzie nędzna lepianka brazylijskiego osadnika, sklecona z pni palmity (*Euterpe*) pionowo ustawionych, a wyglądająca raczej na psią budę, niż mieszkanie ludzkie. Gdzieindziej świeci wśród bujnej zieleni czerwony dach włoskiego kolonisty, okolony uprawnemi łąnami trzciny cukrowej, bananów, kawy, manjoku, ryżu, tytoniu; kukurudzy i warzyw. Są to szczątki nieudanej próby kolonizacyjnej, przed kilku laty przez „Compania metropolitana do Paraná“ rozpoczętej, która, pochłonawszy przeszło 6 milionów milreisów, zrobiła kompletne fiasco.

Mijamy pomorskie miasteczka Antonina i Morretes, i naraz pociąg, ciężko sapiąc, zaczyna się szybko wspinać po prostopadłej ścianie do góry, wijąc zygzakiem ponad przepaściami, zakreślając na szalenie pomyślanych wiaduktach i mostach śmiałe łuki i ósemki, ginąc co chwila w tunelach. Prześliczny krajobraz pomorza i zatoki, u stóp naszych się rozścielającej, co chwila ukazuje się oczom naszym i znika zaraz na gwałtownym skrećcie lub u wejścia do tunelu, aby znów niezadługo ukazać się na krótką chwilkę.

Roślinność bujna, podzwrotnikowa, pokrywa skały granitowe do szczytów: olbrzymie pnie canela, imbuya, fikusów, bombaksów, algarrobów, omszone długimi kosmykami brody Absalona (*Tillandsia usnoides*), spowite od stóp do szczytów delikatnym, blade zielonym płaszczem pnącego się bambusu (*chuskea*), usiane kępami *Tillandsyj* o czerwonym kwieciu i girlandami ljan przybrane; na wilgotniejszych miejscach wznoszą się wysokie pnie palmy królewskiej (*Oreodoxa*), wśród gęstwiny leśnej — cienkie i wysmukłe pnie palmity. Fantastyczne skały granitowe gęsto lasem odwiecznym porośłe, szumiące kaskady na dnie parowów, lekka mgła na szczytach górskich.

Wśród uroczego tego krajobrazu pociąg wznosi się coraz wyżej, na przestrzeni 26 kilometrów dosięgając wysokości 680 metrów nad poziomem morza i znika w wąwozie, przecinającym wysoki na 1200 metrów grzbiet Serra do Mar.

Minąwszy to pasmo, spostrzegamy naraz całkowicie odmienny krajobraz: las staje się coraz rzadszym, ukazują się wielkie płyty łąk torfowych ze sterzczącymi gdzieniegdzie wśród kep wysokiej, ostrej trawy (*herva cortadera*) palmami, a gaje okoliczne tworzy niemal wyłącznie sosna brazylijska (*Araucaria brasiliensis*) i paprocie drzewiaste. Zamiast wijącej się trzciny pojawia się coraz obficie zwykły bambus brazylijski (*tacuara*).

Pociąg leci wśród płasko-falistej okolicy, około 900 metrów nad poziom morza wzniesionej, przypominającej bardzo krajobrazy nasze: sosnowe lasy, rozległe łąki torfowe, gdzieniegdzie pole świeżo zaorane lub zielona ruń młodego żyta, stada bydła pasące się w oddali, białe, drewniane domki kolonistów ze słomianą strzechą, okolone płotem z kolczastego drutu, na sposób argentyński, lub z żerdzi sosnowych — zdradzają że jesteśmy na swojskim gruncie. Osadnikami są istotnie szlżacy i pruscy mazurzy, najdawniejsi w tych stronach koloniści.

W 4 i pół godziny po wyjeździe z Paranagua jesteśmy w stolicy stanu — Curitibie, położonej w kotlinie, na wysokości około 1000 metrów nad poziomem morza.

Miasto, szeroko rozrzucone, wydaje się znacznie większem, aniżeli jest w istocie, liczy bowiem tylko 15.000 mieszkańców. Posiada wspaniały ratusz, gubernatora, trochę lichego bruku, sejm prowincjonalny, dość ładny kościół, oświetlenie elektryczne, cztery dzienniki i całą siłę zbrojną stanu Paraná, liczącą około 600 ludzi różnej broni, przeważnie murzynów, rekrutowanych z pomiędzy włóczęgów i złodziei najgorszego gatunku; tożsamo da się powiedzieć o policji — jedynemi rabusiami, przed którymi w Brazylii całej częstokroć z rewolwerem w rękę bronić się przychodzi, są żołnierze policyjni. W Curitibie pewnego razu obrali oni z gotówki na ulicy własnego policmajstra...

Garstka ta obszarpańców, szumnie zwana „trzema korpunami naszego walecznego wojska“ (*treis corpos do nosso bravo exercito*) odznacza się stosunkami wielce patryarchalnemi i zaiste budującą dyscypliną, której wzorki miałem sposobność oglądać kilkakrotnie. Oto przykład: przed koszarami stolicy w południe przechadza się dwóch murzynów na warcie, z ciężkimi sza-

bliskami brzęczącymi po bruku, w uniformach angielskiego kroju i żółtych pantoflach. Na krzesle usiadł służbowy porucznik z cygarem w ustach. Naraz jeden z wartowników zbliża się do oficera i klepiąc go poufale po ramieniu, prosi o ogień do cygara — drugi tymczasem, chodzący za węglem, odstawia karabin przy ścianie i leci do szynku naprzeciwko na kieliszeczek „kaszasu“. A cóż dopiero artylerja! — armaty nowiutkie, jak z igły, bez zaprzęgu, ciągnione przez ludzi; dla oszczędności strzela się z nich tylko we święta ślepemi nabojami na wiwat... Wobec równie pokojowego usposobienia „nosso bravo esercito brasileiro“, podczas licznych rewolucyj, o jakich telegramy do Europy donoszą, używa jako broni wyłącznie języka — a broń to snąc skuteczna, skoro bez wystrzału usunęli Dom Pedra i z równą łatwością wyprawili niedługo potem twórcę republiki — marszałka Deodoro da Fonseca. Nie dziwię się teraz, dlaczego Lopezowscy Paragwajczycy, zbrojni w liche strzelby, lance, łuki i noże, lecz dzielni i odważni, przez 7 lat skórę „o bravo esercito“ trzepali, zanim pod ciężarem dziesięciokrotnie ich siły przewyższającej koalicji polegli na polu chwały. Zdaje mi się, iż łatwiej jest wojować z nimi, aniżeli taką hołotę utrzymać w korbach woj-skowej karności.

Przed kilkunastu laty Curitiba była małą osadą, utrzymującą się z handlu *herva mate*. Wzrost swój obecny zawdzięcza pomyślnemu rozwojowi kolonij włoskich i polskich, które się w promieniu sześciomilowym wokoło miasta rozsiały. Pierwszych osadników narodowości polskiej sprowadził w te strony geometra p. Edmund Zaporski, szlachak rodem — namówił kilkanaście rodzin kaszubów i poznańczyków, osiedlonych w bardzo niedogodnych dla siebie warunkach w niemieckiej kolonii Brusque w stanie Sta Catharina, do przesiedlenia się w zdrowe i odpowiedniejsze dla Polaków pod względem rolniczym okolice sąsiedniego stanu. Pomimo oporu władz niemieckich i brazylijskich, udało mu się zamiar przeprowadzić: włościanie, pozostawiwszy żony i dzieci na przeprawie przez Rio Negro, sami pomimo kul za nimi puszcanych wplaw uciekli, rozumując iż „baba je zawsze rozumniejsza i da sobie rady“. Baby dały tego dowód i niezadługo dogoniły ich istotnie, a magistrat Curitiba wydzielił każdej rodzinie po 5 morgów lasu w pobliżu miasta. Dzisiaj liczba kolonistów polskich, pochodzących wyłącznie z Prus,

Szlązka i Galicji — wzrosła stopniowo do 12.000, kolonje pojedyncze liczą 12—15 hektarów, a ceny sprzedażne ziemi urosły w trójnasób.

W dzień targowy Curitiba przedstawia widok swojski: mnóstwo wózków polskich, t. zw. u nas „wasągów“, konie w krakowskich chomontach, baby w strojach ludowych mazurskich i poznańskich, na targu roi się od granatowych kapot, czerwonych chustek i białych czepców; na ulicach słycać wszędzie mowę polską z akcentem niemieckim — koloniści bowiem tutejsi pochodzą w przeważnej części z Prus wschodnich i Kaszubów, w mniejszej z Galicji, zwłaszcza z okolic Tarnowa, Jasła i Gorlic. Mają 6-ciu księży polskich, tyleż zamożnych kościołów, szkółki, bractwa religijne, a w Curitiba „towarzystwo polskie imienia Kościuszki“ pod przewodnictwem księdza Andrzeja Działkowca i „Gazetę polską w Brazylii“, wydawaną tygodniowo przez p. Karola Szulca, utrzymującego zarazem sklep galanteryjny. Zaprawieni w ciężkiej szkole niemieckiej, wytrwali, pracowici i cierpliwi, koloniści trzymają się twardo, wykupują powoli ziemię od sąsiadów innych narodowości, rugując systematycznie z pomiędzy siebie brazyljanów, włochów i Niemców, przenoszących się dalej w głąb lasów, na nowe poryby.

Do kompletu obrazu brakuje tylko Żydów, których tutaj niema zupełnie, a nieliczni „słowianie mojżeszowego wyznania“, którzy tutaj szczęścia próbowali, dali wkrótce za wygraną. Element kupiecki reprezentują włosi lub szlązacy i przeróżni „waserpolaki“.

Trzecią część ludności Curitiba stanowią Niemcy — kupcy, przemysłowcy i rzemieślnicy, zorganizowani silnie w kilka stowarzyszeń, i odegrywający już dzisiaj poważną rolę w politycznym życiu kraju, wysyłając 5 deputowanych do sejmu prowincjonalnego. Zdobycie krzeseł poselskich dla cudzoziemców jest w Brazylii rzeczą arcytrudną, wobec niechęci rządu i solidarnej postawy wyborców brazylijskich, głosujących ślepo za rozkazem przywódców partji rządowej, zwłaszcza, iż przyzwyczajono się uważać mandat poselski za korzystną synekurę, djety bowiem są bardzo wysokie, a czynność wielce problematyczna. Tak np. w stanie Sta Catharina djety poselskie wynoszą 15 milr., w Parana 20, w Minas Geraes i Sao Paulo 40, w Rio Janeiro 75 milr. dziennie, a dotychczas tylko w sejmie Paraná, dzięki inicjatywie posłów cudzoziemskich, przeszło zastrzeżenie, iż

djety wypłacane być mają jedynie za dnię, w których poseł znajdował się na posiedzeniu. Ponieważ zaś kadencja sejmowa trwa około 2 miesiące, zrozumiemy łatwo, jak gorącą bywa walka wyborcza. Przy liczebnej swej przewadze, rozporządzając już dzisiaj $\frac{2}{3}$ głosów wyborczych, koloniści polscy mogliby zagarnąć rządy w swoje ręce — trzymają się jednak od polityki zupełnie na uboczu, głosując za wskazówkami swoich proboszczów. Przewodzące stanowisko swoje w mieście zawdzięczają Niemcy poparciu włościan polskich, skąd fakt oryginalny, iż najgorliwsi obrońcami interesów polskiej ludności w Paranie są przede wszystkim Niemcy deputowani, kupcy i dziennikarze.

Poczynając od ostatnich domów przedmiejskich, w którymkolwiek kierunku od Curitiby wyruszymy, napotkamy wszędzie rozrzucone bezładnie wśród wzgórz i dolin, łąk, gajów sosnowych i pól uprawnych — schludne domki kolonistów polskich, będących jedynymi dostawcami artykułów spożywczych na potrzeby miasta. Nieliczni koloniści włoscy sadzą wyłącznie wino, niemcy zaś trudnią się bez wyjątku wszyscy furmaństwem; brazylijanie, znikający coraz bardziej nie zupełnie nie robią.

Przyrost ludności pod Curitibą wynosi podług ksiąg kościelnych parafji polskiej Thomas Coelho — około 5% rocznie, śmiertelność wśród kolonistów bardzo mała, nie przewyższa rocznej cyfry 10 na tysiąc.

Dawni osadnicy w okolicy Curitiby mieli minimalną wartość urzędową otrzymanej od magistratu ziemi spłacać ratami, czego wszakże nie uczynił nikt prawie, w nadziei uwłaszczenia w przyszłości, a summa pierwotnej wartości obciąża, jako pożyczka bezprocentowa, hypotekę osady, której wartość istotna przez wzrost miasta i pracę wyłożoną zwiększyła się niezmiernie. Przeciętne obdłużenie kolonji kilkunastumorgowej w okolicy Curitiby wynosi 250 milreisów, podczas gdy wartość sprzedażna jednego *alquiera* ($2\frac{1}{2}$ hektarów) ziemi ornej dochodzi do 400 milreisów.

Ze składek powstało stopniowo 6 kościołów obszernych i obficie w przybory mszalne zaopatrzonych, plebanje porządnie zabudowane i szkółki. W czasie odpustu w której z kolonij bliższych Curitiby można myśleć, że się jest w jakiej podkarpackiej parafji: sukmany i wysokie buty, wózki góralskie i bryczki, zaprzężone w dobre konie w krakowskich chomontach, śpiew polski, nawet obrazy i chorągwie kościelne sprowadzone z kraju, architektura

kościół i plebanii, stawianych przez domorosłych budowniczych, wreszcie krajobraz okolicy, wielce do naszego podobny, sprawiają złudzenie zupełne.

Nazwy polskich kolonij w pobliżu miasta są: Abranchez (kościół), St. Candida (kościół), Gabriella, Lamenha, Pilarzinho, Thomas Coelho (2 kościoły) Orleans (kościół), Mauricio. Parafją Orleans zarządza od lat 20 ksiądz Ludwik Przetarski, w Thomas Coelho, liczącej 3.000 dusz, są dwie parafje rządzone przez x. Soję i x. Andrzejewskiego (obaj z Galicji), na kolonji Abranchez i Candida mieszka ks. Działkowiec. Szósty ksiądz J. Peters wyjechał do dalszej kolonji Rio Negro. Siódmym jest ks. Smołucha w St. Matheo.

Stan obecny kolonistów osiedlonych w okolicy Curitiby nie jest miarodajnym dla stosunków emigracji najnowszej z Królestwa, odbywającej się w całkowicie odmiennych warunkach: kolonizację prowadzi teraz rząd, a pomimo bardzo rozumnego i uczciwego w teorji systemu i 100 milionów milreisów, wydawanych na cel ten corocznie, wołające o pomstę do nieba złodziejstwo i nadużycia brazylijskich urzędników paraliżują w praktyce całe przedsięwzięcie.

Ruch emigracyjny z Królestwa posiadał cechy epidemiczne, i, jako chorobliwy, nie same zdrowe elementa porwał za sobą. Wielu, niestety, było takich, których tylko gorączka złota, podsycana kłamliwemi bajkami agentów, z domu wyciągnęła; wielu ludzi bez żadnego fachu, bez określonego zajęcia, — stróżów, gajowych, lokai i t. p.; blisko połowa wyrobników i robotników fabrycznych. Ciężkiem było ich rozczarowanie, gdy zamiast obiecanych przez agencję Bendaszewskiego i Santosa djamentów i pereł, kazano im wybierać pomiędzy karczunkiem dziewiczego lasu lub pracą w plantacjach kawowych pod batem przyzwyczajonych do obchodzenia się z murzynami dozorców. Blisko $\frac{1}{6}$ część wychodźców wymarła w drodze w barakach emigranckich w przeciągu pierwszego półrocza — nie pierwsze to i nie ostatnie z pewnością ofiary molocha, zwącego się walką o chleb powszedni.

Curitiba, w języku *guarani* oznacza „wiele szyszek“ — leżała też niegdyś wśród lasów araukarjowych, dzisiaj w znacznej części wytrzebionych, a z torfowiska, na którem niedawno temu tonęły konie i woły, a dzisiaj stacja kolei się wznosi, wypływa rzeka Y-guassu (wielka woda), jeden z ważniejszych dopływów

Parany, stanowiąca w dolnej części swego biegu granicę Brazylii i Argentyny (Misiones).

Grunt Curitiby bardzo żyzny: glebę tworzy czerwona ciężka glina, ze zwiertzałego granitu powstała (terra roxa). Kolonje, na porębach leśnych założone, posiadają warstwę czarnoziemiu na metr grubą, na stepowych natomiast kawałkach humusu braknie, gleba wymaga starannej uprawy i nawozu, aby dać rezultaty dodatnie. Uduje się dobrze żyto, kartofle, jęczmień i kukurudza, groch, fasola, kapusta; próby siania pszenicy dotychczas nie dały pożądaných rezultatów. Urodzaj przeciętny kukurudzy wynosi 25 – 40 ziaren, w wyjątkowych latach przewyższa 100; żyto jare krzewi się na świeżych porębach tak silnie, jak ozima pszenica w Sandomierskiem, a wydajność przewyższa znacznie urodzaje podolskie. Wielu kolonistów straciło pierwszy plon wskutek zbyt gęstego siewu — ziarno rozkrzewiło się bujnie, lecz nie wydało kłosu.

Wyborne udają się również: wino, pomarańcze i inne owoce południowe, a zwłaszcza brzoskwinie, które tutaj zdziczały i rozkrzewiły się tak dalece, iż brazyljanie owocami ich wieprze tuczają. Gałąź ta gospodarstwa, nader korzystna, prawie wcale nie jest dotąd wyzyskaną.

Największym przemysłem Curitiby jest przygotowanie na eksport herbaty paragwajskiej (*Ilex paraguayensis*), w wielkiej obfitości rosnącej dziko w lasach prowincji.

Gdziekolwiek drzewo to rośnie w większej ilości, brazyljanie zakładają „*herval*“, t. j. wycinają inne gatunki drzew, dozwalając krzewić się swobodnie pożytecznej roślinie, z której ciągną zyski.

Drzewo niewielkie, o białej korze, posiada liście lancetowate, żółtawo zielonej barwy, tworzące bujną koronę u szczytu gładkiego pnia.

Zbiór najlepszy ma miejsce od lutego do sierpnia; najgorszy gatunek daje zbiór wiosenny z października i listopada. Do zbierania liści używają się wyłącznie t. zw. „*cabocos*“ czyli metysi półkwi indyjskiej. Robotnik, uzbrojony w wielki krzywy kordelas (*facon*) wchodzi na drzewo, obcinając wszystkie mniejsze gałęzie; inni zbierają je w pęki i ciągną do suszarni (*sapecaje*). Długi niski mur kamienny odgranicza robotników od szeregu roznieconych ognisk. Półnaczy robotnicy z poza muru przeciągają ponad płomieniem gałęzie *mate*. Wymaga to wielkiej zręczności, aby liści nie spalić, lecz ususzyć tylko, nadając im

odcien żółtawy. Jedno umiejętnie pociągnięcie ręki w tym celu wystarcza, a zręczny robotnik w ten sposób wysuszyć jest w stanie 300 kilogramów towaru dziennie.

Podsuszony w *sapecaje* gałęzie znoszą się potem do otwartej szopy, służącej za wędzarnię, gdzie pękami zawiesza się takowe na żerdziach pułapu. Na podłodze pali się ognisko ze smolistych aromatycznych krzewów i drzewa cynamonowego (*canela*): proces ten nazywa się *carrijage*.

Gałęzie małe podkrzesują się co lat 5, we trzy dni po ucięciu przechodzą przez *sapecaje*, a we dwa dni potem wieszają się na 24 godzin w wędzarni *carrijage*, dbając o to, aby drzewo użyte do wędzenia nie psuło aromatu liści *mate*.

Po skończonej operacji wędzenia, pęki gałęzi układają się na ubitym twardo toku i ubijają cepami, wreszcie pakują do koszów z bambusu, przykrywają liśćmi paproci lub też zaszywają w worki z surowej skóry, włosem na zewnątrz. W tej postaci *mate*, opakowane w juki po 50 kilogramów wagi, jest gotowe do dalszej ekspedycji. Przewożą je bądź na mulach po 100 kilogr. na zwierzę, bądź wozami frachtowymi, zaprzężonymi w kilkanaście koni lub wołów.

Codziennie liczne bryki krakowskie, powożone przez Niemców rosyjskich z nad Wołgi i karawany mulów jucznych przywożą transporty *mate* do młynów w Curitibie i okolicy. Tutaj sortują surowy materiał podług barwy na trzy gatunki, i każdy z nich oddzielnie przechodzi ponownie przez suszarnię, potem zaś pod szereg pionowych tłoków z bardzo twardego drzewa lub stali, mielących je na delikatną mączkę koloru tabaki i zapachu świeżego siana. Mączka przesiewa się przez przetak, przyczem oddzielają się kawałki drobnych gałązek, zbierane osobno. Do mączki pierwszego gatunku dosypuje się tych gałązek trochę tylko i to najdrobniejszych — do trzeciego — co najgrubsze okruchy w wielkiej ilości.

Herva (po hiszpańsku *yerba*) *mate*, pakuje się teraz w beczki lub zaszywa w skórzane juki i wysyła do Montevideo lub Buenos Aires. Yerba z Curitiby przez amatorów tego specjału, o którym pomówimy jeszcze obszerniej w Argentynie, jest wielce cenioną. Wyrób beczek do yerby po 1½ milreisa od sztuki jest specjalnością polskich kolonistów z okolicy. Cała beczka mieści w sobie 8 *arrobas* (120 kilogr.), pół beczki — 4 *arroby*; ¼ beczki — 3 *arroby*.

Cena produktu surowego na targu w Curitiba wynosi 2 milreisy za arrobę (15 kilo); po przejściu przez „engenho“ czyli młyn — najlepszy gatunek sprzedają po 5 milreisów za arrobę.

Parana eksportuje *herwy* najwięcej — bo około 25,000.000 kilogramów rocznie wartości 7—8,000.000 franków. Użytek jej wewnątrz kraju bardzo mały, zmniejsza się z dniem każdym, ustępując krajowej herbacie z Sao Paulo i kawie: jedynym odbiorcą są kraje La Platy.

ROZDZIAŁ VI.

Emigranci. Niemcy w Curitiba. Zajście w klubie i serenada Brazylijanie i t. zw. „polityka“. Liga „Ordem e progresso“. P. Carvalho. Odjazd do Palmeiras. Dylizans brazylijski. Campo Largo. Step brazylijski. San Luis. Palmeiras.

W trzech przytułkach emigranckich Curitiba mieści się w chwili bytności naszej około 2.000 wychodźców, prawie wyłącznie Polaków, razem z garstką Włochów, Irlandczyków i Niemców. Ciasnota pomieszczeń przechodzi wszelkie granice, zwłaszcza w „hotelu“ Nr. 3, przeniesionym tutaj z kolonji Thomas Coelho po zalaniu znajdującego się tamże baraku przez powódź. Mamy nerwy już dość zahartowane widokiem ludzkiej biedy, ale czegoś podobnego dotychczas widzieć się nam nie zdarzyło. W zaledwie zbudowanym, niewykończonym budynku, bez drzwi i okien, mogącym pomieścić co najwyżej 250 osób, wtłoczono ich blisko tysiąc, podzieliwszy wewnątrz rusztowaniem drewnianem na dwa piętra, gdzie każdej rodzinie wyznaczono cuchnący barłóg, kilka metrów kwadratowych powierzchni mający. Natłoczone to wszystko gorzej aniżeli pod pokładem emigranckiego statku, choć w podobny mniej więcej sposób. W zaduchu i ścisku wybuchł tyfus plamisty, a umarli, umierający i zdrowi leżą na tym samym barłogu, bez żadnej pomocy znikąd — jedyny bowiem lekarz, Niemiec Meyer, mający powierzony sobie dozór szpitala miejskiego i emigranckich baraków, nie jest w stanie spełniać sumiennie swoich obowiązków, w administracji lekarstw zabrakło, a przeznaczone dla chorych na rosół kury i wino spożywa smacznie z pomocnikami swemi mulat dozorca Gabriel — szubienicznik, który, pomimo ciągłych zażaleń na krzywdzące bezprawia przezeń

popelniane, został usunięty z zajmowanej posady za ledwie w rok po mojej bytności, gdy chwilowo zarząd immigracji dostał się w ręce p. Zaporskiego. Z zapowietrzonego „hotelu“ Gabriela codziennie kilka trumien wynoszono..... Sprawiedliwość każe przyznać, iż w dwóch innych przytułkach zrobiono co było można, aby złemu zaradzić i wynajęto wreszcie dom prywatny dla pomieszczenia chorych, których procent był znaczny. Grasują najbardziej — tyfus brzuszny, dysenterja, skorbut i influenza, a to bynajmniej nie z winy klimatu, który jest zdrowym, jak dowodzi nadzwyczaj mała śmiertelność i szybki przyrost ludności polskiej w okolicy miasta.

Parę razy na tydzień odjeżdżają wozami partje wgląd lasów, do kolonij w Rio Negro, S. Barbara i S. Matheo, luki jednak pozostałe zapelniają natychmiast nowi przybysze z Pinheiro, gdzie jeszcze około 2.000 wychodźców polskich na wysłanie do Curitiby oczekiwało. Dopiero w końcu września ruch ten ustał, gdy ostatnią partję stamtąd wysłano.

Owe Pinheiro, o którym opowiadają wszyscy wychodźcy, jest pierwszą ich stacją na lądzie stałym, położoną w odległości paru godzin koleją od Rio Janeiro w dawnej rezydencji cesarskiej, przerobionej na obszerne i wzorowo urządzone baraki, dokąd emigrantów z północnych krajów, przeznaczonych na kolonje, wprost ze statków przewożą. Włosi natomiast i Hiszpanie, mniej na upały wrażliwi, wylądowują na smutnej pamięci Wyspie „Kwiatowej“ (Ilha das Flores), gdzie dawne więzienie przywożonych na targ do Rio niewolników przebudowano na „hotel emigrancki“ pierwszorzędny, i jako będący na oku władz wyższych i konsulatów, równie jak Pinheiro, wzorowo urządzony. Wielu emigrantów oczekiwało w Pinheiro od 6-8 miesięcy bezczynnie, utrzymywani kosztem rządowym, a w razie choroby leczenia bezpłatnie w szpitalu „Misericordia“ w Rio Janeiro.

Długi ten pobyt w hotelach emigranckich, dobry wikt, próżniactwo i wspólne pomieszczenie obu płci pod jednym dachem jest najujemniejszą stroną całej gospodarki kolonizacyjnej, demoralizując, rozpróżniaczając i rozpajając emigranta, który też zwykle w okresie tym pozbywa się całej gotówki, jaką z kraju przywiózł i pozostaje odtąd na zupełnej łasce administracji, w miarę oddalenia się od stolicy coraz więcej popełniającej nadużyć, pewną będąc zupełnej bezkarności.

Polaków w samym mieście osiadłych jest tutaj mała tylko garstka; gdziekolwiek widnieją szylidy polskie: „Bazar ham-

burski“, „Karczma polska“, „Skład kielbas“ i t. p. Towarzystwo imienia Kościuszki mieści się w jednym pokoiku obok sklepu wiktuałów p. Fliżykowskiego.

Lokal przybrany w chorągiewki narodowe, kilka oleodruków i sztychów ze znanych obrazów naszych, mieści biblioteczkę nadzwyczaj ubogą — dar p. Zaporskiego i jeszcze uboższą czytelną, służąc za miejsce dwutygodniowych zebrań na pogawędkę przy kuflu piwa.

Prezesem był podówczas p. Karol Szulc, sekretarzem — p. Ignacy Waberski, dyrektor małego browaru pod miastem. Usiłowaliśmy wpływem naszym i gorącym słowem wlać trochę życia w to anemiczne towarzystwo, i udało nam się to o tyle, żeśmy zdołali pozyskać udział w takowem paru młodszych księży z okolicznych parafij, mogących mu nadać odmienny nieco i poważniejszy kierunek. Dzisiaj przewodniczącym towarzystwa jest ks. Andrzej Dziatkowiec z parafji Abranches, a liczba członków zwiększyła się podobno znacznie.

Z inteligencji wymienić mogą jeszcze p. Aleksego Waberskiego z Poznania, majstra rzeźniczego, p. Adama Stachowskiego z Kijowa, utrzymującego zajazd dla furmanów, p. Bodziaka, kupca i kilku inteligentnych rzemieślników warszawskich.

Wspomniałem już, iż przodujące stanowisko w mieście zajmują Niemcy. Pomiędzy innymi odznaczają się dwaj ludzie, będący szczerymi przyjaciółmi i opiekunami naszego ludu. Są to pp. Antoni Schneider, redaktor pisma „der Beobachter“ i Bertold Adam, deputowany do Sejmu prowincjonalnego, prezes międzynarodowej ligi „Ordem e progresso“ — poznańczyk, z Polką ożeniony i dobrze władający językiem naszym.

Niemcy, jak zwykle skorzy do zakładania stowarzyszeń, mają ich tutaj bez liku, najważniejszymi są: „Sängerbund“ i „Thalia“, do których zostajemy wprowadzeni przez uprzejmego Schneidra, doznawszy nader serdecznego przyjęcia. Widać jednak, że są wszędzie Niemcy a Niemcy i że „jak świat światem etc“... , gdyż zaraz na wstępie, jakiś tego urzęnięty jasnowłosy syn Germanii, antagonistą Schneidra i redaktor prussofilskiego, anemicznego zresztą, organu *Post* zrobił nam burdę, po której, jakkolwiek go zaraz wyrzucono za drzwi, uważaliśmy za stosowne powrócić do hotelu.

Zaledwieśmy jednak zgasili światło, gdy pod balkonem naszym ozwały się surmy i piszczałki: to zarząd „Thalii“, chcąc powetować wyrządzoną nam obrażę, wysłał swoją orkiestrę, aby

nam zagrała na dobranoc serenadę. Nazajutrz cały wydział klubu zjawił się osobiście u nas, przepraszając za zachowanie się swego członka, którego doraźną uchwałą na zawsze z klubu wykreślono... Zapiliśmy sprawę kuflem wybornego piwa monachijskiego i nadal pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, co tem łatwiej nam przyszło, iż prusaków, do których wstręt czuję wrodzony, niema tutaj prawie wcale, są natomiast „gemüthliche“ bawarzy, austrijacy i Czesi.

Wbrew temu coby z daleka sądzić było można, brazylijanie w Curitibie znajdują się w ogromnej mniejszości. Z wyjątkiem kilkudziesięciu kupców, są to wyłącznie urzędnicy i wojskowi. Zabawnie miał wyglądać uroczysty pochód z powodu otwarcia pierwszego Sejmu prowincjonalnego w Curitibie, w którym brazyljanów wcale nie było, a republikę reprezentowało dziewczę w krakowskim stroju z brazylijską chorągwią, w asystencji konnej banderji krakusów z kolonij Orleans i Abranchez, a wyborców — przeróżne stowarzyszenia niemieckie, francuzkie, włoskie, a nawet szwedzkie i angielskie — tylko brazylijanie w tym uroczystym akcie świecili nieobecnością — wszyscy bowiem należą do sfer urzędowych, otaczających gubernatora.

Ustrój federacyjny nowej republiki pozostawia pojedynczym prowincjom w za sadzie zupełną autonomję, z której wszakże dotychczas Parana nie robi żadnego użytku, pozwalając się obdzierać bez kontroli przez gromadę przysłanych z Rio Janeiro urzędników, zgodnych zupełnie w chwilach wystąpienia przeciwko naturalizowanym cudzoziemcom, lecz walczących zawzięcie pomiędzy sobą o władzę, i kocietujących z osobna z wyborcami. Za mojej bytności gubernatorem był niejaki *Generoso*, należący do stronnictwa liberalnego czyli monarchicznego, a wspierał go pomiędzy innymi wpływem swoim najstarszy kapłan polski z parafji Orleans, ks. Ludwik Przetarski, kaszuba z pochodzenia. W kilka miesięcy później partja republikańska czyli konserwatywna przysłała do władzy. W samej rzeczy natomiast walka najpoważniejsza toczy się pomiędzy brazyljanami obu odcieni z jednej strony, a wzrastającą coraz bardziej w siłę i znaczenie ligą cudzoziemców „Ordem e progresso“ z drugiej, hasłem zaś tej ostatniej jest zagarnąć władzę całkowicie w swoje ręce i przestrzegać ściśle autonomji prowincjonalnej. Wielu brazyljanów z wnętrza kraju popiera również usiłowania cudzoziemskiej ligi. Polacy, nieposiadający pośród siebie prawie wcale inteligencji, popierają ligę głosami swemi,

sami wszakże bardzo podrzędną w niej odgrywają rolę, pierwsze skrzypce odstupując Niemcom — stąd czułość dla nich tych ostatnich.

Przed odjazdem wgląb kraju złożyłem wizytę dyrektorowi kolonizacji, p. Carvalho. Człowiek to młody, gładki i cieszący się powszechną sympatją w mieście. Upředzony już przez swoich przełożonych w Rio Janeiro o bytności mojej, udzielił mi wszelkich żądanych informacyj i zaopatrzył w urzędowe polecenie do podwładnych sobie szefów kolonij, upoważniające mnie do zajrzenia nawet do ksiąg i rachunków komisji kolonizacyjnej, gdybym sobie tego życzył.

27. sierpnia opuszczamy Curitibę, udając się o kilka dni drogi wgląb kraju, celem zwiedzenia nowo powstających kolonij polskich nad rzeką Y-guassu, któremi zarządzał podówczas p. Edmund Zaporski.

Wehikuł, którym jechać mamy, zwany pompatycznie dyliżansem, nie wzbudza zaufania: niskie pudło na resorach, niemilosiernie podrzucających do góry, przykryte naksztalt karawanu ceratowym baldachimem na żelaznych słupkach. Pół pudła zajmują pakunki i poczta, druga połowa z trudnością może pomieścić nas trzech, niemca aptekarza, jadącego do Sao Matheo i milczącego brazylijanina — zdaje się sędziego śledczego czy prokuratora z Palmeiras. Sześć niemilosiernie wychudzonych szkapiąt pocztowych, zaprzężonych we dwie trójki, i woźnica niemiec owinięty w wielki błękitny szal włóczkowy, w żółtych pantoflach na bosych nogach, dopełniają obrazu.

Przechylając się raz na jedną, raz na drugą stronę i gubiąc co parę mil pakiety pocztowe, w nadziei zapewne, że je uczciwy znalazca do najbliższej stacji odwiezie, wyjeżdżamy po szossie na zachód, wśród pól uprawnych i winnic kolonistów. Okolica falista, bardzo wolno ku zachodowi się zniża. Flora mało urozmaicona: oprócz gajów araukarjowych liczne *aroery* (*Erythrina sp*) i draceny, trochę kaktusów i agawy, oraz kępy twardej, krającej *herva cortadera*.

Fauna okolic Curitiby również bardzo uboga. Ptastwo leśne od gwaru ludzkiego uciekło dalej, a oprócz amerykańskiego czubatego wróbla (*zonotrichia pileata*) i czarnych, wielkich jak indyki sępów „urubu“ (*Cathartes atratus*), które setkami obsiadły jatki miejskie i czujnie wietrzą każdą padlinę, bardzo mało się spotyka braci skrzydlatej. Zaledwie zrzadka mignie w gąszczu

bambusów rudobrzuchy drozd (*Turdus rufiventris*), lub dzięcioł czy pelzacz w suchą sosnę zapuka. W nocy i we dnie hałaśliwą muzykę wyprawiają piewiki (*cicada*) i żaby, naśladujące do złudzenia głos płaczącego dziecka. Owadów również bardzo mało: zresztą nic dziwnego, bo tu jeszcze zima. Czasem pofrunie motyl barwisty, a w kurzu przydrożnym jak drogie kamienie świecą wspaniałe nosorożce (*Phanaeus*).

Na obiad stajemy w miasteczku Campo Largo, położonem na bezleśnym kawałku stepu, 850 metrów nad poziomem morza. Miasto, złożone z wielkiego czworokątnego placu i dwóch ulic, liczy kilkuset mieszkańców i prowadzi handel *mate*. Ludność mieszana. Włoch jakiś utrzymuje tu wcale porządną oberżę dla przejezdnych, w której — tak jak u nas widoki z palmami i piramidami — wiszą na ścianie same zimowe krajobrazy dalekiej północy: niebrak nawet odwrotu Napoleona z Rosji i „trójki“ napadniętej przez wilki. Kilka godzin czekać musimy tutaj na reperację złamanej osi dyliżansu, przyczem wysłuchujemy przeróżnych uwag o sobie, jakie z rozmowy oberżysty i milczącego brazylijanina nas dolatują. Ponieważ mówimy ze sobą po polsku, a z aptekarzem po niemiecku, z kombinacji tych dźwięków towarzyszy nasz doszedł do wniosku, iż jesteśmy szwedami. Nie wyprowadzamy go w tej mierze z błędu.

Oś wreszcie naprawiona, jakiś poczciwy „caboco“ przywiózł pogubioną po drodze pocztę i ruszamy dalej. Milę jeszcze ciągną się kolonje włoskie, w znacznej części opuszczone, otoczone ogródkami pomarańcz i *ameizas* (rodzaj żółtych śliwek z kilkoma pestkami wewnątrz). Co trzeci przynajmniej domek włoski jest karczmą lub sklepikiem.

Przebywamy po lichym mostku jakiś strumień na wysokości 780 metrów nad p. m. i przejechawszy *herval*, ze smutnie wyglądającymi, ogolococonymi całkowicie z gałęzi pniami *mate*, zaczynamy nagle piąć się pod górę, wchodząc w głęboki, leśny wąwóz, dobrze zasłonięty od wiatrów, i porosły bujną podzwrotnikową roślinnością, wśród której araukarje prawie znikły, natomiast najwięcej widać pni cedrowych (*cedrela sp.*), dających drzewo podobne do mahoniu, oraz paprocie drzewiaste i gąszcze bambusowe.

Zielone papużki (*conurus brasiliensis*), przelatują z wrzaskiem nad naszymi głowami; gdzieś w głębi parowu, spłoszone zapewne przez jakiegoś drapieźnika, stado wyjców podniosło naraz pie-

kielną wrzawę. Po kwadransie hałasu wszystko ucichło. Tylko słyhać monotonny klekot blaszanych dzwonek naszych koni, z trudnością wlokących ciężki wehikuł pod stromą górę. Droga okrąża parów, powoli dosiegając jego szczytu. Wszędzie widnieje czerwony, zwietrzały zupełnie gnejs z warstwami białej glinki porcelanonej.

W górze naraz zupełna zmiana dekoracji: na pogiętych falisto pokładach gnejsu leży pozioma warstwa płytowego piaskowca czerwonej lub białej barwy, tworzącego odtąd stale podglebie całej okolicy.

U szczytu parowu barometr wskazuje wysokość 1.240 metrów nad poziomem morza. Odtąd wkraczamy w region stepu brazylijskiego czyli *campu*, którego grunt jałowy nadaje się jedynie do hodowli bydła, a i tego zbyt wiele nie widać.

Przez rozpadlinę w skale widnieje u stóp naszych o 500 metrów niżej położona równina Campo Largo, wznosząca się zwolna ku Curitibie, usiana kępami gajów sosnowych, kwadratami pól uprawnych i mnóstwem rozrzuconych bezładnie wśród zieleni domków kolonistów. Na widnokręgu piętrzą się ostre kontury *Serra do mar*. Ku zachodowi druga równina wysoka, lekko falista, skąpą, wyschlą, pożółkłą trawą porośla. W dolkach gdziegdzie ciemne punkciki gajów araukarjowych; co krok czarne smugi świeżo wypalonego stepu; atmosfera duszna od wznoszących się zewsząd pożarów stepowych. Przed nami, za nami, na prawo i lewo wznoszą się pod obłoki słupy czarnego dymu i suną szybko po suchym stepie ogniste smugi pożaru. Jestto tutejszy system użyźniania stepu. Istotnie też po pierwszym deszczu na czarnych, zwęglonych smugach szybko soczysta zielona trawa porasta, a ślady węgla i popiołu znikają nadzwyczaj prędko. Tylko liczne, stożkowate mrowiska wypalone na czerwono i nagie skały, okopcone dymem, świadczą wówczas o niedawnych pożarach stepu.

Gdziegdzie czysty jak kryształ strumyk górski spada w szumiących kaskadach po skalistych progach; od czasu do czasu samotna karczma (*venda*) na nagim stepie. Na drodze ruch ożywiony: mijają nas karawany ładownych mułów i wielkie bryki frachtowe w 8–12 koni zaprzężone, wyładowane „*hervá mate*“. Zrzadka minie nas z podelba patrzący półdziki „*caboco*“, brazylijski skwatter, na tęgim mule, z *ponchem* zwieszonym z ramienia, arkanem u siodła bogato srebrnym przyozdobionego

i bosemi nogami w srebrnych masywnych strzemionach, tak małych, że tylko jeden palec wsadzić w nie można. Nieodstępnie mu towarzyszy kilka psów doskonale wytresowanych do zaganiań bydła. Pomimo dzikiej powierzchowności, olbrzymiego noża i pistoletów dwururnych za pasem, są to ludzie w ogóle łagodni i uprzejmi, posiadający tylko jedną kardynalną wadę, wspólną wszystkim brazylijanom, to jest nieprzewyciężony wstręt do wszelkiej pracy obok nałogu do gry i namiętnego zamilowania do picia *mate*. Ludzie ci na „kampie“ są jeszcze u siebie, lecz w lasach, graniczących z kolonjami rolniczymi, zmuszeni są ustępować miejsca europejskim przybyszom, jak dzicy przed cywilizacją; na kolonjach im za ciasno: mniejszej posiadłości nad kilka mil kwadratowych nie rozumieją, a rolnictwo jest dla nich czemś zupełnie niepojętem. Czystych typów europejskich mało się pośród nich spotyka, są to przeważnie metysi rasy białej, czarnej i czerwonej w przeróżnym stopniu.

Fauna kampu dość bogata. Uderza przedewszystkiem wielka liczba drapieżników skrzydlatych. Nadzwyczaj pospolitą jest pustulka (*Tinnunculus sparverius*), dalej dwa gatunki długonogich sępów (*Polyborus brasiliensis* i *P. Tharus*), spacerujących po drogach o trzy kroki od dyliżansu. Mała sówka (*Athene cucularia*) również jest pospolitą. Wszystkie te ptaki żywią się myszami, żabami i t. p. Na nagich skałach czerwonego piaskowca nierzadko widzieć można sylwetkę siwego ibisa (*Theristicus melanops*), którego głos donośny ciągle słyszeć się daje, a niepodobna ocenić odległości, skąd pochodzi. Na wysokich trawach spotkać można niekiedy oryginalnego dzięcioła z czarną głową, czerwonym czubem, żółtym spodem i żółtawym czarno nakrapianym grzbietem (*Colaptes agricola*), nie siadającego na drzewach, lecz na krzakach stepowych i nigdy nie napotykanego w lesie; kilka muchołówek, jakiś *Mimus*, dwa gatunki kuropatw (*Crypturus*), skowronek (*Anthus platensis*), jaskółki i jerzyki; w gaikach hałaśliwe gromady czarnych „chopi“ (*Aphobus chopi*) i czarno-żółtych kacyków (*Icterus sp*), odbywających gwarne wiece na czubkach drzew. Czasem czubaty koliberek (*Lophornis*) z pobliskich lasów się zabłąka. Natomiast zwierząt ssących nie widać wcale. Zdarza się lis stepowy (*Canis Azarae*), zrzadka puma (*Felis concolor*) i małe pancerniki. Na nocleg stajemy w San Luis, malutkiej osadzie, położonej w dolinie, na wysokości 950 metrów. Oberża wcale porządna, utrzymywana przez Niemca rosyjskiego, jest okolona

sporym gajem, złożonym z algarrobów, araukaryj i paproci drzewiastych.

Nieco ponad osadą, o 30 metrów wyżej, step gładki kończy się wałem kamiennym, ciągnącym się z północy na południe, którego powstanie, przypisywane przez niektórych badaczy lodowcom (nb. żadnych śladów lodowca nie znalazłem), mogą sobie wytłumaczyć jedynie jako wielki przełom pokładów piaskowcowych, połączony z zapadliskiem strefowem (Grabenversenkung). Zapadlisk takich jest tutaj kilka. Pierwszem i największem z nich jest równina Curitiby, położona pomiędzy szczytami Serra do mar i płaskowyżem Campos Geraes, zapadła conajmniej o 400 metrów na krańcu zachodnim i o 200 na wschodnim. Trzy inne leżą pomiędzy San Luis i Palmeiras, wytwarzając tyleż zniżających się coraz bardziej ku zachodowi tarasów.

Linje przełomów wywołują piękne efekty w kształcie baszt i ruin pośród skał, zaledwie wystających po nad powierzchnię Campos Geraes, lecz bardzo urozmaiconych, skoro się na nie patrzy z doliny, odpowiadającej przyległemu zapadlisku t. j. od zachodniej strony.

Nazajutrz, niezmeniając koni, z których jednego, niezdatnego już do dalszej podróży musimy pozostawić, odjeżdżamy dalej na zachód. Nierozumiem, czem żyją te biedne zwierzęta, podobne do obciążniętych skórą szkieletów — obroku im bowiem nie dają, a ze spalonej słońcem suchej trawy stepowej mało pożytku. Natomiast woźnica nasz poi je przy każdej studni. W Argentynie trzymają się zasady wprost przeciwnej — zapewne z powodu rzadkości wody.

Droga zniża się coraz bardziej, coraz częściej przejeżdżamy przez lasy araukarjowe, natomiast droga, coraz gorsza, prowadzi po nagiej powierzchni skały, pełnej dziur i wybojów.

Przebywamy drugi wał kamienny, na wysokości 860 metrów i stajemy na południe w lichej oberży wśród nagiego stepu, zwanej *Restinga secca*, skąd odchodzi boczna droga do przystani w *Porto Amazonas*, punktu wyjścia żeglugi na rzece Y-guassu.

Wysokość oberży nad poz. m. wynosi 780 metrów. W małym ogródku, istniejącym zaledwie od lat 5, widzę spore drzewa pomarańczowe osypane owocem, brzoskwinie i ameizas, — dowód oczywisty, iż nawet jałowy grunt kampu przy starannej uprawie dobre rezultaty dać może. Włoch oberżysta twierdzi, iż z kilku drzewek swoich zbiera około 2.000 pomarańcz rocznie.

Przed wieczorem stajemy w miasteczku Palmeiras, liczącem 500 mieszkańców i zabudowanym zwykłym trybem amerykańskim w czworobok naokoło wielkiego placu z kościołem w środku i dwiema alejami mizerynych palm po bokach.

Tuż po za miastem przechodzi podobny do poprzedzających trzeci wał kamienny, na wysokości 780 metrów nad poz. m., za którym wchodzimy już wkrótce w region leśny, przecięty głębokimi parowami i posiadający grunt ilasty, ze zwietrzenia łupków paleozoicznych powstały.

Snujące się po ulicach postacie w wypłowiałych maciejówkach lub czerwonych kurtach kujawskich wskazują, że jesteśmy blisko nowszych kolonij polskich.

W nocy dziwne wrażenie na nieprzyzwyczajonem oku sprawiają bijące zewsząd łuny pożarów stepu, pożarów, których płomienne języki pod same mury miasta podchodzą, nie wzbudzając w apatycznych brazylijanach najmniejszej troski. Czasami spali się przytem dom jaki, to się i odbuduje... Brazylijanin zresztą wśród czterech ścian, przykrytych dziurawym najczęściej dachem, którego mu się naprawić nie chce, nie zna wcale wygod europejskich. Zamiast łóżka, u zamożnych nawet, stos niewyprawionych skór wołowych, zamiast stolików — kilka pni drzewnych lub czaszki wołowe. Mebli nie posiada żadnych, nie dziw zatem, że obawa pożaru straszną dla nich nie jest. Ociężałość i lenistwo, przy wrodzonej zresztą dobroduszości, przytem wielka chęć z bogacenia się bez pracy, przepełniająca złodziejami wszystkie urzędy: to cechy charakterystyczne prawego syna kraju, niezarażonego jeszcze zgubnymi doktrynami Europy, wypisanemi, wbrew zapewne woli narodu, na sztandarze młodej Rzeczypospolitej Brazylijskiej: „Ordem e progresso“.

Palmeiras jest mięsciną czysto brazylijską; z wyjątkiem paru Niemców, lekarza Włocha i przychodzących za interesami kolonistów polskich, ludność składa się z brazylijanów, mulatów i murzynów. Skoro tylko się ściemni, miasto wydaje się umarłym. Na ulicach żywej duszy niema, okiennice wszystkich domów szczelnie pozamykane, nawet światła nigdzie nie widać, bo pokoje mieszkalne zwykle leżą w głębi domu, od frontu zaś tylko salon gościnny z nieodzowną kanapą i symetrycznie ustawioną aleją wiedeńskich krzesel lub foteli od kanapy do drzwi wchodowych.

ROZDZIAŁ VII.

Dr. Grillo. Nieco o Pawlaku i brazylijskiej Temidzie. Wyjazd na kolonję St. Barbara. Przyroda. Koloniści. Odjazd z Palmeiras. Porto Amazonas. Rzeka Y-guassu.

Dyrektor i zarazem lekarz okolicznych kolonij, Dr. Grillo, Włoch z rodu, okazuje się człowiekiem bardzo uprzejmym i miłym. Na pogawędce z nim parę wieczorów przyjemnie nam upłynęło, przyczem dowiedziałem się najniespodzianie, iż służąca Dra Grillo, młoda, przystojna kujawianka, jest rodzoną siostrą osławionego Pawlaka, oraz iż cała ta przyjemna kompanja, razem z Wyrostkiewiczem, znajduje się na sąsiedniej kolonji St. Barbara, którą zwiedzać mamy. Mordercy nie uważali za stosowne nawet nazwiska zmieniać — tak dalece pewnymi się tutaj czują zupełnej bezkarności. Że nie mylili się w tym względzie, przekonaliśmy się niebawem, gdy, poznani przez nowoprzybyłą partję włościan z pod Nieszawy, zbiegli z kolonji i zostali na żądanie rosyjskiego konsulatu aresztowani w Santos, w chwili gdy chcieli wsiąść na statek, udając się do Ameryki północnej. Sprawiedliwości stało się zadość, — bo nazajutrz... wypuszczono obu z więzienia pod dozór policyjny!... Od tej chwili wszelki ślad ich zaginął oczywiście; — podobno są teraz w *Corrientes* na kresach Argentyńskich.

Dr. Grillo z najwyższem uznaniem wyraża się o pracowitości, cierpliwości i wytrwałości kolonistów polskich w podwładnych mu osadach, gdy natomiast Włosi i Hiszpanie okazali się zbyt słabymi i nieudolnymi przy trzebieży odwiecznych lasów, a z wielkiej liczby sprowadzonych przez zarząd emigrantów tych narodowości zaledwie garstka szczupła pozostała na miejscu. Jedni Polacy wśród tej wieży Babel wszystkich narodowości okazali się istotnie rolnikami, umiejącemi się z ziemią obchodzić.

29. sierpnia zajeżdża zrana przed nasz hotelik porządna kareta w 5 dzielnych koników zaprzężona, i w towarzystwie Dra Grillo odjeżdżamy na obejrzenie pobliskiej kolonii Sta Barbara, od Palmeiras o 1 $\frac{1}{2}$ mili odległej.

Wyborna nowa droga, rękami kolonistów pod kierunkiem Dra Grillo wykonana, prowadzi nas o 100 metrów niżej, ku dolinie rzeki Y-guassu, w regjon lasów araukarjowych i bambusu.

Na skraju lasu, o milę od miasteczka, widnieje pierwszy domek drewniany, sklecony z tarcic, wśród paru morgów oczyszczonego i pokrytego zieloną runią wschodzącego żyta gruntu. W ogrodzonym starannie sadzie rośnie kapusta, sałata, czarny szablak (feijao preto), groch; przy domie parę drzewek owocowych, świeżo zasadzonych. Właściciel kolonii Piotr Wojniak z Zakroczymia jest tutaj zaledwie od 3 miesięcy. Dwie kobiety, niejake Adamskie z Kamienicy pod Dobrzyniem, pracują z nim razem. Kolonja liczy zaledwie kilka chałup i nosi nazwę: *Nucleo colonial da comendador Araujo*.

Jedziemy dalej, spotykając gromadki emigrantów, pracujących przy drodze. O $\frac{1}{4}$ mili na południe las się kończy przy rozstajnych drogach. Na lewo, w stronę rzeki Y-guassu, odchodzi szlak do *Sta Barbara*; na prawo — gościniec do osady Niemców rosyjskich z gubernji Samarskiej — *Sta Kytheria*. Wioska niemiecka na sposób europejski zabudowana w jedną ulicę; w ogrodach, na tyłach domów, zieleni się trochę żyta posianego na użytek własny: koloniści niemieccy w Paranie rolnikami nie są, trudniąc się prawie wyłącznie furmaństwem. Przyjechawszy tutaj z żyznych stepów nadwołżańskich, wybrali kolonje stepowe, stroniąc od ciężkiej pracy leśnej. Jałowa gleba Kampu brazylijskiego zawiodła jednak ich oczekiwania, wielu powróciło do Europy, wielu z nędzy pomarło; większość przesiedliła się do Argentyny. Pozostali wzięli się do furmaństwa lub drobnego handlu. Wszyscy niemal woźnice bryk frachtowych, prywatnych powozów i dyliżansów są Niemcami rosyjskimi, znanymi tutaj na równi z Polakami z Królestwa pod nazwą „russos“. Konkurencję niejaka robią im tylko Ziemczeni przeważnie mazurzy pruscy i Kaszubi.

Dalej, również na stepie, czerwienią się i bielą schłodne domki włoskiej kolonii *Sta Caecilia*, stanowiącej swojego rodzaju *curiosum*. Znany we Włoszech agitator i pisarz socjalistyczny Giovanni Rossi zapragnął tutaj w praktyce zastosować swoje zasady, zakładając włoski „phalanster“ socjalistyczny. Pobudowano ładne domki, zasadzono winnice: okazało się wszakże, iż osadnicy zmienili przekonania, skoro przyszło zasadę „*la proprieté c'est le vol*“ zastosować od siebie samych: na gminę pracować nie chcieli, wreszcie wymówili posłuszeństwo swemu przywódcy.

Doszło do tego, iż Rossi zmuszonym się ujrzał wezwać opieki wojskowej przeciwko własnym towarzyszom. Kolonja upada coraz bardziej, a Włosi gdzieindziej się wynoszą.

Na lewo rozciąga się dalej las ku dolinie rzeki, w końcu spotykamy też pierwszych kolonistów polskich z S. Barbara, pomieszczonych w szałasach tymczasowych z liści bambusu i palmy, zanim rząd przyrzeczone domki prowizoryczne z tarcie podług przepisanej normy im wystawi.

Dalej nieco, na wzgórzu, domki kilku kolonistów hiszpańskich. Nawiasem wspomnę, iż we drzwiach jednego z nich powitało nas uroczne zjawisko dziewczęcia podlotka rzadkiej zaiste piękności, przypominającego madonny Murilla.

Jeden z domków w S. Barbara zamieniono na kancelarję dyrektora Grillo. Zostawiamy tutaj powóz i pieszo puszczaamy się po świeżo wyciętych drogach i ścieżkach w głąb lasu. Wkrótce tracimy z oczu rozległą panoramę, wchodząc w gąszcze, których przed kilku miesiącami jeszcze noga ludzka nie tknęła, ginące dzisiaj pod ciosami toporów polskiego pioniera. Łażniewski, po raz pierwszy znajdujący się w podzwrotnikowym lesie dziewczym, co chwila nastawia swój aparat fotograficzny, aby olśniewające ogromem i pięknnością obrazy dzikiej przyrody zachować. Na nieszczęście, nie wszystkie klisze się udały, a nadto fotografja, nieoddająca gry barw i odcieni przeróżnej zieloności, nie jest w stanie odtworzyć potężnego wrażenia, jakie puszcza podobna wywiera na widza. Ołówek dobrego rysownika większe w tym razie oddać mógłby usługi.

Ktokolwiek widział u nas araukarje w cieplarniach, w naturze nigdyby ich nie poznał. Dziwne to drzewo, najstarsze z drzew szpilkowych na ziemi, posiada w starości wiele cech, zbliżających je do palm. Za młodu ma kształt świerka lub jodły, igły płaskie i krótkie, trójkątne niemal, pokrywają całą długość gałęzi, odchodzących prawidłowemi pierścieniami od pnia głównego i posiadających wielką ilość gałązek bocznych. W późniejszym wieku gałęzie dolne opadają stopniowo, pozostawiając na pniu głęboki odcisk w kształcie obrączki, nieznikający nigdy, tak samo jak to ma miejsce u palm; gałęzie szczytowe tworzą kształt szerokiego grzyba, jak u sosny włoskiej (*Pinus maritima*), lecz pomimo znacznej swej długości nie posiadają wcale odnóg bocznych, są zupełnie nagie i tylko na końcu samym sterczy gruby pęk długich, ciemnozielonych, cienkich szpilek. W wieku

<http://rcin.org.pl>

jeszcze późniejszym gałęzie, tworzące koronę pojedynczą, zaginają się do góry, a szczyt drzewa staje się zupełnie płaskim. Całość wówczas robi wrażenie olbrzymiej jakiejś lodygi kwitnącego kopru czy marchwi. Po uschnięciu drzewa opada ostatnia korona ze szczytu i pozostaje już tylko obrączkowany słup, zdaleka nieróżniący się od takichże uschłych pni palmowych. Araukarie w S. Barbara dochodzą 1½ metra średnicy i 40 metrów wysokości i stanowią najpospolitszy gatunek drzewa. Obok nich istnieje drzewo żelazne (Imbuya), dalej „Canela“ czyli drzewo cynamonowe, zwane tak od cynamonowej barwy swego rdzenia, *ficus* jakiś, drzewiaste paprocie i kępiasty bambus, tworzący gąszcze nieprzebyte. Palm niewiele i wszystkie zdają się należeć do jednego gatunku (*Oreodoxa sp.*). Ze wszystkich drzew starych, zwłaszcza Canelas i Imbuyas, zwieszają się długie szarawe festony brody Absalona (*Tillandsia usnoides*). Na araukarjach tylko jej niema.

Wśród tej puszczy rozlega się wszędzie odgłos polskich siekier, dymią świeżo wypalone poręby, widnieją co paręset kroków schludne, z desek sklecone domki; na wyrobionych z mozołem kawałkach roli wśród olbrzymich pni zwęglonych zieleni się młode żyto i kartofle; gdzieś widać ogródek warzywny, a pozostawione wśród poręby białe drzewka *hervey mate* mają pozór sadzonego ogródka. Szerokie gościńce, nad którymi pracują emigranci, przecinają całe terytorjum kolonii, przechodząc przez wszystkie działki. Grunt, z pod lasu wyrobiony, nadzwyczaj żyzny, jest ciężką, czerwoną gliną. Kolonja liczy około 150 rodzin polskich, 40 włoskich i 6 hiszpańskich. Inwentarza żywego nikt jeszcze nie posiada, z wyjątkiem trochę kur, wieprzy i gdzieś w krowy mlecznej — ale też należy pamiętać i o tem, że jeszcze w grudniu zeszłego roku na miejscu tem był jednolity, nieprzebyty bór dziewiczy.

Manipulacja kolonizacyjna, wspólna dla wszystkich kolonij nad Y-guassu jest następującą: kolonista otrzymuje 20—25 hektarów gruntu, położonego przy ścieżce, którą sami osadnicy mają w przeciągu kilku miesięcy na drogę kołową przerobić. Ścieżki te, czyli „picadas“ tworzą linje możliwie proste lub przecinające się pod prostemi kątami. Działka pojedyncza posiada zwykle od drogi 200 metrów frontu, w głąb zaś obok 1000 metrów. Droga przechodzi przez środek działki, czyli „lote“.

Wartość takiego „lotu“, obliczoną na 100—150 milrejsów, kolonista obowiązany jest spłacić w przeciągu trzech lat, z potrąceniem $\frac{1}{3}$, jeśli się w terminie z długu uiszczy. W przeciwnym razie zapisuje się dług na hipotekę lotu na 6% rocznie. Wszelkie inne zapomogi, z których $\frac{3}{4}$ zresztą rozkradają urzędnicy po drodze, są bezzwrotne. Kolonista otrzymuje od rządu domek z tarcic, gontami kryty, mający jedną izbę, długą na 6, szeroką na 4, wysoką 2,66 metra, o dwóch oknach bez szyb, zamykanych okiennicami i przybudówką w tyle, przeznaczoną na kuchnię. Jeżeli kolonista sam sobie taki domek wystawi, ma prawo do zapłaty 120 milreisów — której, co prawda, nigdy nie widuje. Oprócz tego otrzymują emigranci najniezbędniejsze narzędzia i trochę ziarna do siewu, do ogólnej wartości 50 milreisów na rodzinę.

Istnieją jeszcze zapomogi w gotówce, a raczej w formie kredytu u kupców żywności, opłacane robocizną na drogach i robotach rządowych — zarobki te wszakże są największą klęską kolonistów, obdzierają ich bowiem przy wypłatach niemiłosiernie, kupcy są w zмовie z urzędnikami, a na zapłatę czekać miesiącami trzeba, tracąc drogi czas na chodzenie do odległej administracji po należne kwity robocizny, t. zw. *vales*, przyjmowane przez kupców ze znacznem dyskontem. Zapomogę, zrazu wcale dostateczną, obliczoną podług ilości członków rodziny, która przeciętnie wynosiła 50 milrejsów na rodzinę, stopniowo zmniejszano do 30 milr. miesięcznie; kwota ta, przy ogromnie wygórowanych cenach artykułów żywności, nie wystarcza na przeżycie, zarobków zaś ubocznych niema żadnych. Najlepiej przeto mają się ci z kolonistów, którzy, posiadając mały zapas gotówki na pierwsze potrzeby, nie są zmuszeni dawać się obdzierać przez *vendzistów*, ani szukać wątpliwych zarobków rządowych, wkładając cały czas swój w pracę obok własnej roli, która już po kilku miesiącach utrzymanie im zapewnić może, zwłaszcza jeśli dodamy bardzo ważny, a mało emigrantom znany artykuł żywności, jakim są smaczne i pożywne ziarna araukarji.

Dla przykładu przytaczam ceny artykułów żywności z książeczki dłużnej Adama Jaroszewskiego, warszawianina, na kolonii Sta Barbara osiedlonego:

słonina 1 kilogram.	—	800	reis
cukier 1 „	—	400	„
chleba bochenek	—	400	„

soli 1 litr	—	160	reis.
fejao (szablak czarny)			
1 cuarta = 10 litr	—	1.200	"
kawy 1 kilogr.	—	2.000	"
ryżu 1 litr	—	400	"
mydła 1 kilo	—	400	"
butelka wódki	—	500	"
paczka zapalek	—	320	"

Ogólny rachunek miesięczny tego kolonisty wynosi 27 milreisów. U innych na tejże kolonii — 32 do 37 milreisów. Największy jaki widziałem — 48 milreis.

Oto dalej rachunek zapomogi rządowej, wypłaconej Kazimierzowi Podgórowskiemu, koloniście z Nr. 54, z żoną i trojgiem małych dzieci.

kubelek wartości	—	2.000	reis.
kociołek 6-litrowy	—	8.040	"
kociołek mały	—	1.200	"
graca	—	1.200	"
siekiera	—	3.800	"
szpadel	—	1.200	"
kosa do trzciny (fo- iça)	—	2.800	"
piła	—	12.000	"
gwoździ 6 kilo	—	3.300	"

Na kolonii S. Barbara i sąsiedniej Cantagallo znajduje się ogółem 770 osób narodowości polskiej, litewskiej i rusińskiej. Najwięcej pochodzi z guberni płockiej i warszawskiej, z powiatów sierpeckiego, rypińskiego, lipnowskiego i nieszawskiego; kilkudziesięciu robotników fabrycznych z Zyrardowa, Tomaszowa, Łodzi i Warszawy. Z Galicji spotkałem kilka rodzin rusińskich z pod Złoczowa. Między innymi zapamiętałem nazwisko barczystego chłopca Naliwajki, z lubością spoglądającego na tak pożądaną w kraju „lisy i pasowyska“. Gdym ich po małorusku „sława Isusu Chrystu“ przywitał, ochłonawszy z pierwszego zdziwienia, zasypali mnie pytaniami o swoich znajomych i krewniaków w Galicji pozostałych. Litwin jakiś z pod bialskiej puszczy, którego nazwiska nie pamiętam, posiada największy kawał wyrobionego gruntu, bo ze 4 morgi zupełnie oczyszczone i uprawione pod zasiew. Żali się na pewne drobne nadużycia dozorców kolonjalnych, wogóle jednak jest bardzo zadowolony

z rezultatów swej pracy. Żona, na wspomnienie Litwy i znajomych okolic lę ukradkiem otarła. „Ot poleciałaby ja do swoich, ale widać już nie sądzono nam biednym sierotom!“ Poczciwe litwinisko na pierwszym miejscu w chałupie swojej obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej zawiesił i z dumą pokazuje mi tę relikwję, ze swojej świętej Litwy przywiezioną, dopytując się czy prawda, że tu ma przybyć ksiądz polski, bo od wyjazdu z kraju u spowiedzi nie był. Pocięszam go, że niezadługo własnego proboszcza w S. Matheo mieć będą i ruszam dalej.

Szeroki gościniec się kończy i gromadka emigrantów, uzbrojonych w topory, oskardy i motyki pracuje przy karczunku dalszego ciągu już wyciętego i oczyszczonego z leżących pni szlaku.

O paręset kroków dalej wznosi się przed nami jednolity mur zielony i tylko wązka ścieżka. t. zw. *picada* wgląb puszczy nas dalej prowadzi. Gąszcz bambusów, z pomiędzy których wystzelają grube na 1 $\frac{1}{2}$ metra araukarje, proste jak struna, zakończone u góry koroną gałęzi na kształt ramion świecznika wzniesionych, *imbuyas* oplecione ljanami i włochatą *Usnea*, ficusy olbrzymie, paprocie drzewiaste i palmy otaczają nas dookoła, oświetlone ruchomymi plamami przedzierającego się przez gęstwinię słońca, tworząc co chwila obrazy godne pędzla mistrza.

Stuk siekier i gwar rozmowy, z gąszczu dochodzący, zdradza bliskość ludzi — niedługo też wychodzimy na inny gościniec, świeżo w puszczy otwarty i spostrzegamy gromadkę polaków przecinających *picadę* wśród bambusów za pomocą krótkich kos na sztorc osadzonych (*foiça*). Robota idzie rażno i wesoło — opodal, wzdłuż rozpoczętej drogi widnieją białe domki kolonistów na ciemnym tle sosnowego boru. Z góry, zakończonej stromem urwiskiem, obejmujemy okiem rozległy krajobraz leśny — w oddaleniu dostrzegamy domki następnej kolonii polskiej — Cantagallo, liczącej 19 rodzin.

Wszystkie osady polskie nad rzeką Y-guassu pozostające pod naczelnym kierunkiem p. Edmunda Zaporskiego, tworzą pasmo ciągle wzdłuż prawego brzegu rzeki, połączone drogą kołową, dzisiaj częściowo tylko wykończoną, z jednej, a łożyskiem spławnej rzeki Y-guassu z drugiej strony. W odstępach jednodniowej podróży konnej wyznaczone są place na mające powstać miasta jak Rio dos Patos, S. Matheo i Rio Claro, rosnące tutaj z amerykańską szybkością w miarę wzrostu dobrobytu okolicznych kolonistów. Linja kolei świeżo wykończona, łączy

Curitibę z przystanią w Porto Laranjeiras, od której Y-guassu zaczyna być splawną. Przy zaprowadzeniu dobrej żeglugi parowej można będzie przeto dotrzeć w przeciagu półtorej doby do najdalszej z istniejących osad Rio Claro, gdy przy obecnych środkach przewozowych podróż ta trwa około tygodnia.

Sposób uprawy gruntu koloniści przyjęli od brazyłjanów, jako w warunkach tutejszych najodpowiedniejszy. Po wycięciu poręby, obcinają się z drzew wszystkie gałęzie, i razem z drobnym chrustem podszycia układają w stopy. Poręba w tej postaci nosi nazwę „rossa“. Teraz czekać trzeba suchej pory roku, lub przynajmniej kilku z kolei dni pogodnych, aby nagromadzone na *rossie* sęgi nieco podeschły, poczem się takowe podpala. Umiejętne wypalenie poręby stanowi połowę pracy. Wielkie pnie powalone, równie jak karczce ściętych drzew pozostawiają się na miejscu, próchniejąc zwolna przez lat kilka, zanim się same nie rozsypią. Karczunek na europejski sposób tutaj się nie oplaca, i tylko niektórzy, niedoświadczeni jeszcze koloniści zadają sobie ten trud zbyteczny.

Pomiędzy leżącemi zwęglonemi pniami ziemia porusza się szpadlem i motyką, a następnie zasiewa mais, żyto itp. w ten sposób, iż jeden człowiek, idący przodem, drągiem żelaznym robi w zrychlonej ziemi dołek, drugi, idąc za nim, wrzuca doń kilka ziarn i zdeptuje nogą. Oto i cała uprawa, las bowiem nie posiada małych szkodliwych chwastów, wymagających pielenia i tylko z nieczystego ziarna dostaje się niekiedy tutaj oset, plaga amerykańskich zasiewów. W lat kilka po osiedleniu, gdy pnie drzew wypróchnieją, a kolonista dorobi się na tyle dobrobytu, iż może sobie parę wołów roboczych i pług sprawić — powoli zaczyna się stosować do wyjałowionej już nieco poręby orka i system uprawy europejski.

Plagą, na którą się wielu kolonistów skarży, są tutejsze mrówki, niszczące zasiewy. Walka z niemi nie jest łatwą, a polega na systematycznym paleniu i zalewaniu wrzątkiem mrowisk.

Z kolonji Sta Barbara uciekło kilkunastu pojedynków, którzy doczekać się nie mogli wyznaczenia sobie gruntu: pierwszeństwo bowiem zastrzega się dla ludzi familinyh. Większość tych uciekinjerów są to robotnicy fabryczni, stróże domów z Warszawy, lokaje, fornale, wogóle ludzie, niezwyčajni ciężkiej pracy pioniera w lesie, a częstokroć niemający wyobrażenia o uprawie roli. Tacy, spotykając partję emigrantów, udających

się na kolonje, dziwy im opowiadają o czekających ich tam okropnościach, gdy w samej rzeczy największe okropności przebyli już oni w miejskich barakach, a dzień, w którym miasta opuszczają, jest dla nich dniem wyzwolenia. Zdarza się, że niektóre osobniki mniej spokojne zarząd kolonji sam wydała.

W dziennikach, nadesłanych z Curitiby, znajdujemy wiadomość o kilku buntach wychodźców w Rio Negro, Ponta Grossa i kilku miejscowościach stanu St. Catharina. Powodem buntów są wszędzie nieporządki administracji, złodziejstwa kupców, nadużycia tłumaczy, brak pieniędzy przy wypłatach miesięcznych itp. Jeden z dzienników „*A Republica*“ w każdym numerze swoim umieszcza piorunujące artykuły przeciwko nieporządkom administracji kolonjalnej w Paranie: nie należy wszakże zbyt serjo traktować ani wiadomości podawanych, ani też szlachetnego oburzenia redaktora: wszystko jest tu zawsze podszyte walką osobistą i polityczną dwóch stronnictw, dobijających się o tłuste synekury rządowe; a że w tej chwili u steru w Paranie stoi t. zw. „liberalna“ czyli monarchiczna partja, republikanie przeto oczywiście są malkontentami.

Delegatem komisji kolonizacyjnej jest „liberał“ Dr. Carvalho, człowiek używający u polaków najlepszej opinii, a w zarządzie jest kilku wyższych urzędników cudzoziemców, będących solą w oku brazylijskim „konserwatystom“, nie mogącym gospodarować w funduszach kolonizacyjnych. Sposób ludzki i rozsądny, w jaki uspokojono bunt 3.000 wychodźców w Rio Negro, posyłając im, zamiast bagnatów i szabel, p. Bertolda Adama dla wysłuchania, bez pośrednictwa tłumacza, ich skarg i zażaleń, a następnie, na skutek sprawozdań tegoż posła zmiany osobiste, przeprowadzone w zarządzie kolonji, dają najlepsze świadectwo o dobrych chęciach p. Carvalho. W kraju jednak, gdzie tysiączne sprzeczne interesa osobiste sprawą publiczną rządzą, a jeden z dygnitarzy nie wahał się publicznie oświadczyć, iż „osłem jest ten co nie kradnie, z tego powodu woli być złodziejem niż osłem“, w kraju, o którym rodowici Brazyljanie się wyrażają, iż obecnie nie jest on wcale ich „ojczyzną“, lecz krajem rządzonym przez hasło: „kradnij kto może“; w kraju takim najlepsze chęci szlachetnych ludzi nie wystarczają a jedyną gwarancją usunięcia nadużyć jest samo pomoć, zorganizowanie się silne wychodźców pomiędzy sobą, aby przez prasę i posłów sejmowych praw swoich bronić. Tak zrobili tutaj Niemcy i Włosi; to samo powin-

niby uczynić Polacy, gdyby nie paraliżowały wszelkich w tym kierunku usiłowań osobiste swary i niechęci tutejszej, bardzo nielicznej zresztą, inteligencji.

1. września, pożegnawszy uprzejmego Dra Grillo, z wielką paradą, bo aż we dwie pięciokonne karety, wynajęte za słone pieniądze (co prawda innych środków lokomocji wcale nie było w Palmeiras), odjeżdżamy do Porto Amazonas, gdzie nas uprzedzony przez umyślnego posłańca parowiec pasażerski miał oczekiwać. Wśród zielonych borów, po pełnej wybojów drodze, dostajemy się przed południem na równinę bezludną, około 660 metrów nad poziom morza wzniesioną. Karczma, barak emigrancki z kilkudziesięciu polakami, w oddali mały zajazd dla podróżnych — oto i całe Porto Amazonas, przechrzczona przez naszych Maćków na „fort Mazanka“. Pośród gór, lasem sosnowym pokrytych, szukamy napróżno rzeki: łożysko jej bowiem tworzy głęboki i wązki parów, całkowicie wśród falistej okolicy ukryty. Rzeka Y-guassu (wielka woda) jest wązka, lecz głęboka, źródła jej leżą na łąkach obok Curitiby, skąd rzeka płynie na zachód, łącząc w sobie połowę wód całej prowincji, i wpada do Parany na granicy paragwajskiej wprost osady Takurupukú, tworząc o $\frac{1}{2}$ mili przed ujściem wspaniałe wodospady (saltos de Y-guassú), przewyższające o wiele pięknością swoją Niagarę. Wodospad składa się z kilku progów, z których najwyższy ma 80 metrów. W górnym swym biegu Y-guassu posiada prąd bystry, lecz jest łatwo dostępną dla żeglugi. Parowce dochodzą do Porto Uniao, przy ujściu Rio Negro, która również aż do kolonii tego imienia jest spławna. Dalszy bieg rzeki od Porto Uniao do katarakty nie jest jeszcze znanym.

ROZDZIAŁ VIII.

Odjazd na Y-guassu. Niewygodne pomieszczenie. Nocleg w lesie. P. Marvalho. Rio dos Patos. Przybycie do Sao Matheo. Serdeczne przyjęcie. Obraz kolonji. Zmiana tonu p. Marvalho.

W przystani oczekują dwa małe i bardzo liche parowce kołowe. Jeden z nich jest pod parą, naładowany po brzegi towarami, nazywa się pasażerskim. O jakiegokolwiek kajucie mowy niema. Okazuje się, iż na tej bardzo ograniczonej prze-

strzeni, nie posiadającej zresztą ani ławki, na stołka, ma się pomieścić 60 emigrantów i 8 pasażerów. Wydaje nam się to zrazu niewykonalnem, przy dobrych chęciach jednak pomiędzy pakami i beczkami z cukrem, naftą, mąką i spirytusem wszyscy wcisnąć się zdołali. Dla honoratorów oczyszczono rodzaj skrzynki przy samym piecu, oddzielonej od emigrantów kawałkiem żagla, gdzie na przestrzeni 6 metrów kwadratowych 8 osób przez trzy dni mieścić się miało.

Jadący z nami brazylijanie, jako już doświadczeni, podróżują wraz z kulbaką i pościelą; zaopatrzeni są również w żywność na cały czas podróży — t. j. suszone mięso i tapjokę. Emigrantom również na dwa dni wydano żywność: mięso suszone, okrasę, feijao i ryż.

Nie przeczuwając wcale, jak długą podróż mamy przed sobą, wybraliśmy się dość lekko z kawałkiem befsztyka i parą bułek w nadziei, iż na wieczór staniemy w Rio dos Patos, płonnej niestety.

Kapitan oświadczył wprawdzie, iż tylko na nas czekał, pomimo jednak iż przybyliśmy o 11., statek zaledwie o 3. popołudniu odbił od brzegu.

Kapitan statku, anglik, pełniący zarazem funkcję maszynisty i palacza, oświadcza mi, iż otrzymał rozkaz czekania na nasz przyjazd, dalej iż p. Zaporski rozminął się z nami, odjechawszy właśnie do Curitiby lądem, wreszcie iż na spotkanie nasze ma wyjechać szalupa rządowa, do której przesiąść się mamy. Rzeczywistość jednak wyglądała mniej różowo.

Szeroka dolina rzeczna, porośła wierzbą (*Salix Humboldtiana*) i aroerą (*erythrina*), wije się wśród wzgórz araukarjowym borem porosłych; czasami kępa mirtów lub kawał mokrej łąki, ostrą, wysoką trawą (*cortadera*) porosłej.

W charakterze komisji inspekcyjnej, jaki nam zachowanie się władz kolonialnych nadało, otrzymujemy miejsce najlepsze, t. j. parę metrów sześciennych przestrzeni, oczyszczonej pomiędzy stosem pak i beczek. Miejsce to wystarczyłoby od biedy dla jednego, ale we trzech nawet pokotem położyć się tam niepodobna, ponieważ zaś pokładu niema, lokujemy się na dachu, ryzykując zawalić blaszaną cienką pokrywkę statku.

Na brzegu rzeki poważnie siedzą duże, ociążałe capivary (*Hydrochoerus capibara*), nawet na strzał karabinowy nie ruszające się z miejsca; nad głowami przelatują liczne zimorodki,

białe czaple i kormorany. Zrzadka szafas brazylijskiego osadnika lub łódź z jednego kloca wyciosana, napełniona towarami, ozyskują krajobraz.

Zaledwie godzinę jesteśmy w drodze, naraz stój! Parowiec przybija do brzegu i wypuszcza parę. Pytamy co się stało? — zabrakło opału, więc kapitan, sternik, majtkowie i część pasażerów wysiada z siekierami do lasu. Najlepszy opał stanowią nadzwyczaj ciężkie, mocno smoliste i twarde jak żelazo stożkowate sęki araukaryj, które się w próchnie rękami wybiera — palą się równie dobrze jak węgiel kamienny.

Rozpaliwszy ogień, jedziemy dalej, aby manipulację tę powtarzać stale co parę godzin.

Na noc przybijamy do brzegu.

W jednej chwili gromadka emigrantów zabrała się do pracy, stuk polskich toporów echem rozległ się po puszczy i niezadługo olbrzymie ognisko wysokim snopem iskier buchnęło, oświecając krwawą luną snujące się sylwetki parobczaków w kujawskich katankach, dziewczuch i bab z garnkami, warzących wiecezrę. Jakaś dziewczucha z pod Włocławka była do głębi oburzona marnotrawstwem mirtu, którego spore drzewko ścięto na opał. „Jezus Maryja! a dyć u naszej dziedziczki to w doniczce się chowa, a wy to tak marnujeta“... Śmiechy, żarciki i gwar do późnej nocy panują.

Zawijam się w ciepłą burkę czerkieską, wśród gwaru polskich śpiewek, dolatujących od ogniska i słucham gawędy staro nudziarza, niejakiego Robaczkiwicza, stelmacha z Wierzbinka na Kujawach, który, zapomniawszy snadź, że się nie znajduje nad Wisłą, opowiadał mi przeróżne ploteczki o jednym z moich kolegów z uniwersyteckiej ławy i całej okolicy Włocławskiej, nie domyślając się nawet, że znam wszystkie osoby jego opowiadań. W tej atmosferze swojskiej, wśród boru sosen i wierzb płaczących na brzegu, zasnąłem twardo, marząc o swoich, dopóki przenikliwy chłód poranku i świst żalony parowca mię nie zbudziły. Ranek mamy chłodny i słotny, termometr wskazuje +10 C. Głód i zimno dokuczać poczynają, wiatr przejmujący przez burkę czuć się dawał.

O świcie wyruszamy w dalszą drogę, przystając co parę godzin dla nabrania drzewa. Około jedenastej spotykamy szalupę rządową, jak się dowiedziałem później, przez p. Zaporskiego umyślnie po nas wysłaną. Zastępca wszakże p. Z. — p. Luis da

Maravalhos, bardzo mało okazał się uprzedzającym, uważając nas za rewidentów rządowych, przysłanych z Rio Janeiro dla sprawdzenia jego czynności — a snadź sumienie jego nie było zbyt czyste. Zaprosił nas wprawdzie do szalupy, a razem z nami i kilku brazylijanów sobie znajomych, uczynił to wszakże jakby z łaski, pozostawiając nam odbycie dalszej drogi od Rio dos Patos na nieznośnym parowcu „pasażerskim“. Bardzo niechętnie pokazał mi niektóre z żądanych przezemnie ksiąg rachunkowych, i poczęstowawszy mię filiżanką kawy przypomniał że parowiec niezadługo odejdzie... Cóż było robić, upoważnienia do korzystania z szalupy rządowej w ręku nie mieliśmy, więc — *il fallait faire bonne mine au mauvais jeu* — zaspokoiwszy głód u kupca w Rio dos Patos miską jajecznicy i zakupiwszy na dalszą drogę nieco ryżu, odjechaliśmy dalej.

Z nudów zabawiamy się polowaniem, postawiwszy kilku chłopaków na widecie, aby nam o spostrzeżonej zdaleka zwierzynie donosili. Za każdą upatrzoną sztukę dostawali pomarańczę. Uciecha stąd wielka. Ofiarami naszych zapędów nemrodowskich padło kilka kapiwarów, z klasycznym spokojem siedzących nad wodą o kilkanaście kroków od przechodzącego z hałasem parowca. Żadnego z nich wszakże dostać nie możemy, bo wpadają do wody, a ciężkie ich cielsko tonie natychmiast. Hempel zabił dużego wyjca, Łaźniewski lisa, płynącego przez rzekę, których musimy porzucić, gdyż kapitan przystanąć nie chce.

Ptastwa wodnego mało na rzece, z wyjątkiem kormoranów, bardzo czujnych, oraz białych czapeł; raz tylko jeden spotkaliśmy jakąś wielką kaczkę. Z innych ptaków widziałem penelopę (*gallinha do matto*=kura leśna) i trzy gatunki zimorodków. Te ostatnie są najpospolitszemi.

Nocujemy znowu w lesie przy ognisku, noc zimna, słotna; w oddali grzmi i błyska. Nad ranem ruszamy dalej i bez przygód dalszych, po południu stajemy nareszcie w S. Mathes, u celu naszej żeglugi, serdecznie przyjęci przez zastępcę p. Zaporskiego, młodego chłopaka imieniem Paulo de Albuquerque Marcondes, który odtąd miał nam we wszystkich wycieczkach po okolicy nieodstępnie towarzyszyć, dostarczyć koni wierzchowych i wszelkich przez nas żądanych wyjaśnień udzielić.

Kilkunastomorgowy plac, pokryty zwęglonemi pniami, świeżo wydarty dziewiczej puszczy, ma być zawiązkiem miasta S. Matheo, czyli Kolonji Maria Augusta. Dzisiaj przyszłe to

miasto leży na wysokim, lecz nie zbyt spadzistym brzegu Y-guassu, wśród świeżej poręby, którą jeszcze nawet w połowie z powału i opalonych pniaków oczyścić nie zdołano, wśród dymiących zgłiszcz dziewiczej puszczy araukaryj i imbuyas.

Trzy sklepy uniwersalne, dostarczające kolonistom, na kredyt robocizny rządowej, żywności, odzieży i narzędzi potrzebnych (na jednym z nich — Bodziaka i Fliżykowskiego powiewa amarantowo biała chorągiew), kancelarja zarządu na wzgórzu, trzy rozpoczęte domy drewniane, plac oczyszczony pod budowę kościoła i plebanii, stopy desek i belek obrobionych, barak dla emigrantów i szereg podwójny szałasów, mieszczących kilkadziesiąt rodzin polskich, oczekujących na wydzielenie sobie gruntów — oto spis dokładny całego miasta w jego składzie obecnym, pociętego na szachownicę przez proste ulice, noszące już swoje nazwy, jak: plac kościelny, ul. Dra Carvalho etc. Z lasu donosi się odgłos toporów cieśli, obrabiających drzewo na budowę kościoła; gromadki ludzi pracują przy budowie trzech wyżej wymienionych domów; reszta tłoczy się przed barakiem przyglądając się nam z ciekawością i nieufnością zarazem. Baby tylko, zajęte gotowaniem strawy, nie opuszczają ognisk pomiędzy dwoma rzędami szałasów rozpalonych.

Dostajemy wygodne pomieszkание w domu administracji, wikt u p. Bodziaka na rachunek komisji kolonizacyjnej i od następnego dnia zaczynamy wycieczki celem poznania okolicy i kolonistów.

Od miasta rozchodzą się promienisto w głąb puszczy cztery szerokie i wygodne gościńce, przechodzące przez środek czterech kolonij polskich: Tacuaral czyli nucleo Dr. Carvalho, Canoas v. nucleo Zaporski; Cachoeras (nucleo Villeroy) i Y-guassu (nucleo comendador Costa), spolszczone przez kolonistów na Iglaszów.

Kolonja Tacuaral przez kolonje również polakami obsadzone: Rio do meio i Agua branca (Abramka lub za bramką w ustach kolonistów), łączy się z Rio dos Patos, zaś kolonja Y-guassu prowadzi do nowo zakładanej kolonii Rio Claro, o dzień drogi dalej, w dół rzeki, w regjonie, dzisiaj jeszcze w posiadaniu dzikich indjan (bugrów v. botokudów) będącym.

Ogółem, podług narodowości, mieści się w kolonjalnej grupie S. Matheo 228 rodzin polskich, 14 hiszpańskich, 19 nie-

mieckich, 18 brazylijskich „cabocos“, dawniej tutaj osiadłych, posiadających gaje *mate* czyli *hervales*.

Rodzaj gleby i roślinność nie różnią się od S. Barbara, pomimo niższego nieco położenia, a o ile sądzić można z roślinności — niema różnicy klimatycznej. Przypisać to należy wyjątkowemu położeniu stanu Parana, odgraniczzonego od gorących wiatrów północnych i wschodnich wysokimi pasmami gór, gdy przeciwna strona południowo-zachodnia jest otwartą ku pampie argentyńskiej, której zimne wiatry tutaj dochodzą. Stąd fakt oryginalny, że gdy znacznie dalej na południe, w okolicach Porto Allegre trzcina cukrowa dobrze się udaje, a w okolicy Blumenau istnieją plantacje kawowe, w całym stanie Parana, z wyjątkiem wąskiego pasma pomorskiego, udaje się najlepiej żyto, jęczmień, mais, kartofle i wino. Temperatura w lecie dochodzi do 40° C. w słońcu, w zimie do 5° poniżej zera. Stałą cechą klimatu tutejszego są, jak w Argentynie, nadzwyczaj szybkie zmiany temperatury. Spadek termometru o 15—20% w przeciągu kilku godzin nie należy do osobliwości. Krajowcy, oswojeni z klimatem, są nieczuli na te zmiany, chodząc wpólnego, emigrantom europejskim wszakże dają się one mocno we znaki, a wielu gorzko żałuje, że koźuchy w domu zostawili, zawierzywszy opowieściom o nadzwyczajnych upałach brazylijskich.

Pierwotnymi osadnikami w S. Matheo byli hiszpanie, których sprowadzono tutaj 120 rodzin przed rokiem. Dzisiaj pozostało ich tylko 11, reszta uciekła, opuszczając kolonie, nie mogąc podolać zbyt dla nich ciężkiej pracy przy karczunku odwiecznego boru.

Stan kolonistów już osiedlonych zastaliśmy wszędzie dobry; pracują zapamiętale i niema ani jednego, któryby chociaż 1/2 morga żyta nie miał zasianego; większość posiada po 1—2 morgi uprawne, a wielu ma już własne warzywa — kapustę, kartofle, sałatę i brukiew.

Jak wszędzie w Brazylii, przeważna większość wychodźców polskich pochodzi z gubernii plockiej i warszawskiej; dużo spotyka się też robotników fabrycznych z Łodzi, Tomaszowa, Żyrardowa; trochę podlasiaków i litwinów.

Do ciekawszych typów należą dwa osobniki: jeden, niejaki Kicki, mieniący się synowcem generała, ex-fajerwerker artylerji, ex-piekarz i ex-rządca domu Dra Sznabla w Warszawie, przybył tutaj z niejakim zapasem pieniężnym i próbuje zabawić się

w „obywatela“ klnąc „chamów“, których najmuje do roboty — wątpię bardzo, czy mu się taka gospodarka opłaci. Drugi — gajowy z białowiezkiej puszczy, stary żołnierz kaukazki — typ żywcem z akwareli Fałata wykrojony. Pierwszym sprawunkiem jego w Brazylii była strzelba, a pierwszą troską w S. Matheo, czy jest w lesie zwierzyna?...

Po kilkudniowym pobycie naszym w S. Matheo, zawinęła do przystani szalupa rządowa, wioząca p. Marvalho we własnej osobie, wraz z depeszą od szefa kolonji, oddającą szalupę pod nasze wyłączne rozkazy. Szanowny p. Marvalho zmienił swoje postępowanie naraz do niepoznania, o ile przedtem był zimny i niegrzeczny, o tyle teraz sam siebie prześciga w grzecznościach i obietnicach, prosząc tylko o pozwolenie powrócenia do Rio dos Patos szalupą, którą zresztą przywiózł liczne grono dam na spacer, umiając połączyć własną przyjemność z posłuszeństwem rozkazowi swojej władzy. Zezwalam wspaniałomyślnie z warunkiem, aby szalupa nazajutrz zrana znajdowała się w S. Matheo i wyprawiamy tego wieczora bal emigrantom w jednym z budujących się domów, przy odgłosie własnej miejscowej kapeli, złożonej ze skrzypiec i trąbki. Obecni na balu brazyljanie kupcy, nb. utytułowani (w Brazylii co drugi obszarpaniec jest markizem, a co trzeci baronem) z galanterją sunęli prosić do tańca bosc Kaški i Maryški, i wywijali oberka niegorzej od kujawskich parobczaków, z tą tylko różnicą, że w obecności dam zawsze odkrywali z rycerską galanterją głowy. Ochoty nie brakło „szły wiechcie z butów, a wióry z podłogi“, jak mówi krakowska piosenka, a bal ten w szarej doli emigrantów w S. Matheo długo jeszcze po naszym wyjeździe stanowił epokę.

W kolonji S. Matheo przyjętym został system praktyczny tymczasowego pomieszczenia wychodźców nie w barakach ogólnych, lecz w szałasach bambusowych oddzielnych dla każdej rodziny. Baraki obszerne stoją zwykle pustkami, emigranci bowiem, pomimo pewnych stron ujemnych szałasów, wolą być gospodarzami u siebie, aniżeli mieć pomieszkanie wspólne. Szalasy te ze względów sanitarnych co parę miesięcy bywają palone. Wielkość nadziałów, zarobki i system żywienia ten sam, co na S. Barbara. Suma wypłat miesięcznych za roboczną dochodzi do 10.000 milreisów. Ceny żywności bardzo wygórowane. Śmiertelność dość znaczna, nie daje wszelako miary o istotnej zdrowotności klimatu, wielu bowiem przybywa tutaj już chorych z ho-

telów emigranckich w Curitibie, a brak opieki lekarskiej (aptekarza bowiem portugalczyka, udzielającego porad w biurze zarządu nie liczę) i nieodpowiedne żywienie chorych do tego się przyczynia. Od założenia kolonii, t. j. w przeciągu jednego roku, z ogólnej liczby 1647 przybyłych umarło 134. *)

Ponieważ okolice S. Matheo już dawniej przez brazylijskich caboclów była zamieszkała, nie ma tu już ani zwierząt drapieżnych, jak wogóle mało zwierzyny; indjanie również się nie pokazują.

Inaczej wszakże stoją rzeczy na bardziej ku zachodowi wysuniętej kolonii Rio Claro, którą założono już po moim wyjeździe. Nierzadkim jest tam jeszcze straszliwy czarny jaguar, którego się cabocle jak ognia boją. Jeden z włóścian, spotkawszy go na drodze, jakkolwiek miał strzelbę nabitą w rękę, w przekonaniu że to sam djabeł „ten srogi bydlak, co to niby wygląda jak kot, a je wielgi jak kuń“, rzuciwszy broń, zaczął odmawiać litanję do Matki Boskiej. Jaguar chwilę się nań popatrzył, obliżał się, ogonem po bokach uderzył i znikł w zaroślach. Z ludźmi wypadków dotychczas nie było, jaguary bowiem, tak samo jak tygrys indyjski tylko wtedy dla ludzi bywają groźne, gdy przypadkowo skosztowały ludzkiego mięsa.

Z drobnych szkodników, duszących kury, wymienić należy skunksa (*Galictis barbara*) i ocelota (*Felis pardalis*). Z pożytecznej zwierzyny zdarzają się: tapir czyli anta (*Tapirus americanus*), pekkari (*Dicotyles torquatus*) zwany tateto, i kryjący się w norach, gdzie nań z lancami polują, dzik (*Dicotyles labiatus*), zwany „porco to matto“ i dwa gatunki najpospolitsze małp: kapucynka (*Cebus capucinus*) i wyjec (*Mycetes caraya*) zwany „macaco“, którego rozdzierające uszy koncerty, podobne do skrzywienia setki kół niesmarowanych, codziennie o zachodzie słońca słyszeć można, wreszcie świnka wodna czyli kapiwara (*Hydrochoerus capibara*) i mrówkojad grzywiasty (*Myrmecophaga jubata*). Z ptastwa są w wielkiej obfitości przeróżne papugi, z rodzajów *Ara*, *Chrysotis* i *Conurus*, indyk leśny, zwany *jacaranda* (*Urax galeata*) i penelopy, na łąkach — dubelty i kuropatwy. Wodnego ptastwa natomiast mało. O obecności sarn słyszałem od caboclów, zdaje się, iż będzie to gatunek nieznaný jeszcze,

*) Po wyjeździe moim lekarzem w S. Matheo, został aptekarz polak p. Sztencel z Kalisza.

którego żywy okaz widziałem później w Paragwaju, wielkości naszej kozy i ciemnoczekoladowej barwy.

Lecz wracam do S. Matheo.

9. września odjechalismi do Rio dos Patos, v. Palmyra, odprowadzani przez całą ludność kolonji, wśród wiwatów i salw z dubeltówek.

Stanęliśmy tam na noc, przyjęci tym razem bardzo uprzejmie przez p. Maravalho, który na nas czekał z sutą wieczerzą, własne pomieszkanie i łóżka na nocleg nam odstąpił, a księgi urzędowe do dyspozycji naszej przedstawił; jednym słowem przechodził sam siebie w uprzejmości.

Nazajutrz objechaliśmy konno całą kolonję, znacznie mniej od S. Matheo naprzód posuniętą. Drogi są zaledwie wycięte, niewykarcowane jeszcze i dla wozów dotychczas niedostępne; wiele działek nie posiada domów, a to z powodu, iż pan Maravalho nie pozwala kolonistom samym sobie chałupy stawiać, aby im przynależnych 120 milreisów nie wypłacać. Cieśle brazylijscy bowiem robią na akord taniej, a nadwyżkę szef do kieszeni własnej chowa. Widziałem np. dobrego stolarza, który warsztat swój założył w szalasiu, nie mogąc się wprowadzić do domu, wcale niezdatnego na mieszkanie... Koloniści natomiast pracują z gorączkowym pośpiechem na swoich porębach i wielu posiada już po kilka morgów zasianego pola.

Gleba, jak wszędzie nad Y-guassu żyzna i do uprawy wszelkich zbóż europejskich zdatna.

Z pomiędzy 160 rodzin polskich, znajdujących się w Rio dos Patos, 87 było osiedlonych, reszta zaś mieści się w szalasiach tymczasowych w pobliżu kancelarji. Wyplaty miesięczne za robociznę (właściwie kupcom za żywienie emigrantów), wynoszą 5—7 tysięcy milreisów. Znalazłem pomiędzy innemi dokumentami dwa rachunki dostawcy, jeden opiewający na 175 milreisów, za kury i wino dla chorych, które zjedli i wypili urzędnicy, żaden chory bowiem nigdy ich nie oglądał; drugi za jednodniową żywność dla 95 emigrantów, przewożonych statkiem do S. Matheo, opiewający na 125 milreisów, t. j. przynajmniej dwa razy wyższy od istotnej wartości wydanych emigrantom produktów spożywczych; normę bowiem zwykłą porcji emigranta stanowi wartość 500 reis na osobę. Walka z podobnego rodzaju nadużyciami jest bardzo trudną, z powodu iż tłuste posady urzędników kolonizacyjnych obsadzone są przeważnie przez ludzi,

posiadających „protekcją“ u góry, która im zupełną bezkarność zapewnia.

Ceny żywności bardzo wygórowane, też same zresztą, co w S. Matheo, mianowicie:

1 litr fasoli czarnej	—	100—200	reis
1 litr ryżu	—	160	„
1 kg. mąki pszennej	—	400—500	„
1 litr mąki kukurydzian.	—	100	„
1 bochenek chleba	—	400	„
1 kilogr. mięsa	—	300	„
1 kilogr. okrasy	—	1000—1200	„
1 kilo cukru	—	400	„
1 kilo kawy	—	2000	„
1 litr soli	—	200	„

Za gotówkę u cabocłów można produkta te nabyć znacznie taniej.

Koloniści skarżą się na liczne nadużycia podwładnych urzędników (feitores) i samego Marvalho; zwłaszcza za wiele sobie pozwala policja konna, złożona z murzynów, a uzbrojona w foicy i noże, którą się tchórzem podszyty szef z obawy przed do-
rażnym wymiarem sobie sprawiedliwości otacza. Z gagatkami temi osobiście miałem zajście, gdy mi chcieli gwałtem przeszkodzić rozmawiać z wychodźcami. Musiałem aż dobyć rewolwera i zagrozić, że zeń zrobię użytek, aby mi dali spokój. W kilka miesięcy później, gdy Marvalho został przeniesiony do Rio Claro — gwardja jego pokaleczyła wielu ludzi, a nawet zabiła na śmierć niejakiego Skotarskiego.

Po raz pierwszy spotykam tutaj wychodźców z Poznańskiego, z okolicy Inowrocławia. Byli to jedyni ludzie, oprócz litwinów, którzy okazywali zupełne zadowolenie ze swego losu. Gdym jakiegoś poznańczyka, siwego już jak gołąb, zapytał, czy mu praca przy karczunku za ciężką się nie wydaje, odpowiedział mi wesolo: „a gdzieżby się lepszą ziemię, jak nie na porębie, znalazło!“

12. wieczorem stajemy w Porto Amazonas, minawszy w drodze parowiec z partją kilkudziesięciu emigrantów polskich. W barakach portu zastaliśmy ich jeszcze kilkuset, pod wodzą p. Dublasiewicza z Płońska, oczekujących swojej kolei. Wszyscy są zapisani na S. Matheo. Opowiadają nam o fortelach, jakich używał tłumacz w Paranagua, aby ich skłonić do osiedlenia się

na gorącym pomorzu i zachwiać zaufanie, jakie wychodźcy mieli do nas.

Wielka capibara, ważąca 150 funtów, którąśmy zabili po drodze, idzie na kolację do kociolków emigranckich. Wielu się waha, czy mają jeść to mięso, nie mogąc rozstrzygnąć zoologicznej kwestji, czy to jest wodna świnia, czy też taki wielki szczur wodny. Dajemy przykład i capibara szybko znika w żołądkach emigranckich.

Powrót nasz do Curitiby nie był zbyt wygodnym. Dostawszy się do San Luis wynajętym wózkiem parokonnym po haniebnej drodze, zastaliśmy dyliżansy szczelnie zapelnione, a za wynajęcie koni oberżysta żądał skromnej sumki 55 milreisów. Złożywszy tedy pakunki nasze na przechodzącą tamtędy brykę frachtową, sami udaliśmy się do Campo Largo, t. j. o 4 mile, piechotą. W miasteczku znaleźliśmy już bez wielkiej trudności wózek Niemca kolonisty, służący zwykle do wożenia kartofli, i parę dobrych koni. Późną nocą stanęliśmy, jednocześnie prawie z dyliżansem, w Grand-Hotelu stolicy.

ROZDZIAŁ IX.

Odjazd z Curitiby. Bal ligi „Ordem e progresso“. Kolonje polskie i niemieckie w stanie S. Catharina i Rio Grande do Sul. Bugry. Sao Francisco. Itajahy. Desterro. Rio Grande do Sul.

Czas, któryśmy mieli do rozporządzenia, zbliżał się ku końcowi, pieniądze zaczynało braknąć, tym czasem wiadomości dochodzące nas z Rio Negro i stanu S. Catharina wielce niepokojące, wymagały sprawdzenia koniecznie na miejscu. Postanawiamy przeto rozdzielić się: odjeżdżam wprost do Buenos Aires, towarzysze zaś moi mają dotrzeć łądem przez Rio Negro, Sao Bento i Joinville do Blumenau, i za parę tygodni ze mną się połączyć.

Wielki bal polityczny, wydany na cześć naszą przez ligę cudzoziemską „Ordem e progresso“, zmusza nas do powstrzymania na dni kilka naszego wyjazdu, dając nam jednocześnie sposobność wejrzenia nieco bliższego w tutejsze stosunki polityczne.

Liga, która przyjęła sobie za godło dewizę brazylijskiej chorągwi, gdzie takowa na ironje zakrawa, łączy wszystkich

cudzoziemców bez różnicy narodowości, naturalizowanych w Brazylii, z wielką wszakże przewagą żywiołu germańskiego. Poszczególne narodowości, bez względu na ilość członków, posiadają równe w towarzystwie prawa i przy wyborach równą ilością głosów rozporządzają. Jedni tylko włosi trzymają się od ligi na uboczu.

Celem ligi jest zdobycie dla cudzoziemców jak największej liczby mandatów poselskich na Sejm krajowy i walka z nierządem brazylijskiej administracji. Dotychczas zdołano przeprowadzić wybór 5 deputowanych ligi. Ponieważ jednak Niemcy w Curitibie sami są zbyt słabi bez poparcia wyborców wiejskich, przeważnie Polaków, starają się przeto ich wszelkimi sposobami do siebie przywabić. Bal dla nas wydany, na którym był nawet jeden pan we fraku, a dość nadobne córki stolarza Hauera w balowych toaletach i rękawiczkach, jest wielką manifestacją polsko-niemieckiej przyjaźni na gruncie brazylijskim. Po tańcach wniesiono mównicę i posypały się mniej lub więcej gorące programowe oracje i wiwaty, na które wypadało odpowiadać wśród wrzawy oklasków i grzmiących „hoch!“ Owoce tej politycznej przyjaźni są dzisiaj już niezaprzeczone, a w braku odpowiednich kandydatów polskich, prezes ligi p. Bertold Adam i redaktor organu tego stronnictwa „der Beobachter“ — Schneider, są rzecznikami i obrońcami interesów ludności polskiej w sejmie i wobec opinii publicznej, odpierając oszczerstwa i potwarze, miotane przez gazety brazylijskie na polskich wychodźców od czasu bytności p. Dygasińskiego.

Zanim opuścimy ład brazylijski, uważam za stosowne uzupełnić obraz kolonij polskich, w Paranie i stanach sąsiednich, na podstawie informacji moich towarzyszy oraz osób wiarygodnych.

W stanie Parana, oprócz zwiedzonej przez nas głównej grupy nad Y-guassu istnieją jeszcze luźne rozsiane wśród Włochów i Brazylijanów osady polskie w pobliżu miast Ponta Grossa i Castro, oraz w dolinie rzeki Tibajy (kolonia Adelaida). Ku południowi zaś od Curitiby, wzdłuż budującej się kolei, rozlega się druga, wielka grupa kolonij polsko-niemieckich, łącząca Curitibę ze stanem Sta Catharina.

Plaskowyż, na którym leży Curitiba, ciągnie się bez zmiany ku południowi aż do krańcowego punktu nowej kolei, miasteczka Lapa, położonego na wysokości 1000 metrów nad poziomem

morza, wśród bezleśnego kampu. Dalej ku południowi teren zniża się nieco w dolinie rzeczki Rio Avajem (Rio Varzea na niektórych mapach) do 810 metrów, poczem wkraczamy już w region leśny, przeważnie araukarjowy. Dział wodny pomiędzy Rio Avajem i Rio Negro jest 1100 metrów wysoki (Alto do Sao Benedicto). Dolina Rio Negro, stanowiąca granicę spornego terytorjum pomiędzy stanami St. Catharina i Paraná, posiada przy kolonji tego imienia wysokość 860 metrów, i spadek ku zachodowi, wpadając do Y-guassu w pobliżu Rio Claro.

Miasteczko Rio Negro, liczące ze 30 domów, dość ruchliwe z powodu przeprawy przez rzekę (na promie) transportów *hervy mate*, mieści zarząd świeżo założonych kolonij w tej okolicy, w których towarzysze moi zastali stan rzeczy opłakany, bardzo daleki od wzorowego urządzenia kolonij nad Y-guassu położonych. Przed kilku tygodniami zmieniony z powodu nieporządków zarząd wraz z nowym swym szefem p. Trajano Brasil, nie potatygował się nawet zajrzeć do kolonji Lucena, odległej od biura zarządu o całych mil 7. W barakach Rio Negro mieści się kilkuset ludzi natłoczonych, dziesiątkowanych przez tyfus i dysenterję. Szpital, położony na lewym brzegu rzeki, nie odpowiada elementarnym wymaganiom sztuki lekarskiej. Lekarz odwiedza go zaledwie raz na tydzień. Piękne projekta wystawienia nowego lepszego szpitala speszły na niczem dla braku funduszków; żywność pogorszyła się — wychodźcy nie otrzymują wcale mięsa (rząd żywi ich w barakach swoim kosztem); wypłaty za robociznę spóźnione o całe pół roku.

Najbliżej miasta leży kolonja austriacka „Bukowina“, na prawym brzegu rzeki, istniejąca od lat 5, złożona z galicjan, Niemców i Rumunów. Stan kolonji wogóle dobry.

Nowe osady, ze względów politycznych, celem stworzenia „faktu dokonanego“ w kwestji sporu granicznego z prowincją sąsiednią, założono na lewej stronie rzeki, o 7 mil w głąb kraju, na południe od miasteczka Rio Negro.

Główna kolonja, nazwiska Lucena, leży pomiędzy rzekami Rio Magrinho i Rio Petreira, wpadającymi do Rio Negro od południa, na wysokości 1020 metrów. Charakter lasu podobny jak w Paranie, pospolitą jest *mate*, rzadziej natomiast spotykają się araukarje.

Lucena jest środkowym punktem (*nucleo urbano*) kolonij wiejskich, rozchodzących się na wszystkie strony, a mianowicie:

S. Antonio, S. Pedro, S. Joao i Apolonia. Ogólna ilość wymierzonych „lotes“ wynosi 300, rozdanych kolonistom — 180, naprawdę zajętych — tylko 80. Koloniści niechętnie tu się udają i opuszczają nadane sobie grunta z powodu utrudnionej wielce komunikacji, braku żywności i zarobku, oraz krzyżujących nieporządków w administracji. Po odjeździe naszym, zmieniło się tutaj wiele na lepsze, gdy szefem kolonii został mianowany p. Balon, poprzednio dyrektor kolonji Rio Claro, człowiek ludzki i przez emigrantów lubiony. Kolonistów wysyłają na mułach, pozostawiając ich w barakach Luceny; dalszy transport do nich samych już należy. Żywność dostawali zrazu na dni 15, obecnie tylko na 7¹/₂. Roboty przy drogach, dającej im gdzieindziej możliwość przeżywania się do pierwszego żniwa, tutaj nie mają z powodu zbyt wielkiej odległości — drogę bowiem doprowadzono tylko o 2 mile na południe od Rio Negro (we wrześniu 1891 — obecnie do samej już Luceny wózkiem dojechać można), gdzie kilkudziesięciu zaledwie pracującym robotnikom do osobnych baraków żywność dowożą. Dalej w głąb lasu budowa dróg jeszcze nie jest rozpoczęta, koloniści więc, nie znajdując żadnego zarobku, opuszczają nadane sobie grunta i powracają bądź do Rio Negro, bądź do Curitiby.

Kolonja istnieje od maja 1891. Pierwotnie sprowadzono tutaj Niemców, których jednak pozostało już tylko 11 rodzin na miejscu, i Irlandczyków (260 osób), którzy wszyscy powrócili do Curitiby, żądając odesłania do Europy i omal nie zabiwszy przytem angielskiego konsula. Polacy okazali się najcierpliwszymi, lecz i ci uciekają tłumnie, i jeżeli zarząd kolonji nie znajdzie sposobu na zapewnienie tym ludziom bytu do pierwszego żniwa, jak to się praktykuje na innych kolonjach brazylijskich, niezadługo kolonja Lucena należeć będzie do przeszłości. We wrześniu 1891 znajdowało się tam około 2000 Polaków.

Wielką przeszkodą dla osadnictwa europejskiego w kolonji Lucena, równie jak w Rio Claro, są indjanie (bugry), napadający na samotnych kolonistów, lub nawet urządzający większe wyprawy wojenne. W okolicy Rio Negro w przeciągu jednego roku napady podobne miały miejsce trzy razy, przyczem wymordowaną została jedna rodzina, a dziewięciu kolonistów, ściągających indjan z bronią w rękę, padło w krwawej z nimi utarczce. Koloniści wskutek tego nie odważają się zapuszczać

w lasy pojedynczo, lecz łączą się przy karczunku gromadami po kilka rodzin, na noc zbierają się również sąsiedzi bądź u siebie, bądź w karczmie Kubiaka w Lucenie.

W Rio Negro obecnie buduje się już kościół, a ks. Peters, krakowianin, jest tam proboszczem. Pod administracją p. Balona wiele zmieniło się tutaj na lepsze, podług ostatnich wszakże wiadomości cały zarząd kolonizacyjny w Paranie razem z p. Zaporskim został usuniętym, a szefem mianowany brazylijanin Mendonça, podobno niepoń wielki. Zresztą wszędzie w całej Ameryce południowej jest to stałym zjawiskiem, że rządy, a zwłaszcza urzędnicy zmieniają się jak w kalejdoskopie, a z nimi razem i system rządowy, tak iż ktokolwiek na pomoc rządową liczyć musi, nigdy nie jest pewnym, co mu jutro przyniesie. W Europie zmiany podobne nazywają się tylko „przesileniami ministerjalnemi“ lub w najgorszym razie „dymisją gabinetu“ — tutaj zaś jest to już „uma revolução“, która wszystko do góry nogami przewraca, aby w parę miesięcy później inna „revolução“ odplaciła jej pięknem za nadobne. To też mają zupełną słuszność koloniści nasi, że pozwalają się gryźć pomiędzy sobą brazylijanom i obalać rząd po rządzie, nie przyjmując czynnego udziału w krajowej polityce, oprócz chyba popierania przy wyborach ligi „Ordem e progresso“, dążącej jawnie do wyrzucenia z Parany zarówno „liberalnych“ jak „konserwatywnych“ brazylijanów. Że im za to brazylijanie wdzięczni nie są, trudno się temu dziwić.

O 40 kilometrów ku wschodowi od Rio Negro, przy ujściu rzeki Rio Preto, leży mała osada tego nazwiska, w której polak Kamiński posiada „engenho“ do mielenia *mate* i sklepik spożywczy (venda). Przestrzeń między Rio Negro i Rio Preto dość jałowa: gaje araukaryj, przeplatane kawałami bezleśnego i skalistego kampu. Od Rio Preto znowu droga wchodzi w lasy. Na przestrzeni 45 kilometrów przejeżdża się niemieckie kolonie Lenzol i Oxford i dochodzi wreszcie do Sao Bento — głównej osady tej okolicy. Okręg Sao Bento liczy 900 kolonij, z tych około 300 polskich — wyłącznie z Prus i Galicji.

Sao Bento i kolonie okoliczne, założone przez hamburskie towarzystwo kolonizacyjne, należą do osad starszych, mają wiele cech wspólnych z okolicami Curitiba, są wszakże, jak się zdaje, mniej zamożnymi. Wzniesienie nad poziom morza

(1000 m.) i płody rolnicze wskazują na klimat podobny do Parany.

Środkowym punktem osad polskich w okręgu Sao Bento jest Bechelbrunn (Rio Vermelho), osada miejska, posiadająca dwa polskie sklepiki, młyn etc., i oddalona od S. Bento o 10 kilom. ku wschodowi. Kolonje polskie noszą nazwy: Wunderwaldstrasse (80 rodzin polskich i 8 niemieckich), Banadostrasse, Bismarckstrasse i Humboldtstrasse. Dwie ostatnie zasługują na szczególną uwagę, ciągną się bowiem w kierunku południowym, o 3 mile, schodząc stopniowo coraz niżej do regionów gorących. W górnej części kolonji, w pobliżu Rio Vermelho (850 m.) rośnie żyto i kartofle; w dolnej (250 m.) banany, trzcina cukrowa i kawa.

Większość kolonistów znajduje się tutaj od lat kilkunastu, dostawszy po przybyciu na miejsce po 100 morgów pruskich lasu i zarobek przy budowie drogi po 2—3 milreisów dziennie, zresztą żadnych innych zapomóg im nie udzielano.

Dolne części kolonji Humboldt i Bismarck leżą już w dolinie rzeki Rio Humboldt, dopływu Rio Itapoçu z lewej strony.

Ogółem jest w tej stolicy osiedlonych 8000 Niemców i 3000 Polaków.

W Bechelbrunn istnieje szkołka polska i piękny kościół, nie posiadający dotąd proboszcza.

O 30 kilometrów na PdW. od Sao Bento, przekracza droga (estrada Dona Francisca) w miejscowości Campo Allegre dział wodny pomiędzy Rio Negro, płynącym do Y-guassu i Rio Cubatao wpadającym do Atlantyku; wysokość działu wód, utworzonego przez góry Serra do San Miguel, wynosi 1140 metrów. Dalsza droga ku PdW. prowadzi na przestrzeni 40 kilometrów przez las tylko przez dzikich Indian (botokudów) zamieszkały, wśród górzystej okolicy wzdłuż doliny rzeki Rio Cubatao. Przejście przez wysokie pasmo Serra do Mar ma 1160 m. wysokości, poczem na przestrzeni 12 kilometrów droga stromo schodzi na dół, aż do miasteczka Joinville, położonego na brzegu morskiej zatoki.

Joinville jest ładnym, czysto niemieckim miasteczkiem, liczącym około 4000 mieszkańców, oraz stolicą okręgu kolonialnego Dona Francisca, będącego, równie jak S. Bento, własnością hamburskiego towarzystwa kolonizacyjnego. Należące tutaj osady niemieckie leżą wszystkie w gorącym pasie lasów pomorskich

u stóp Serra do Mar, w dolinie rzeki Pirahy, ciągnąc się ku południowemu wschodowi aż do ujścia rzeki Itapocù. Są to: Pedreira, Annaburg, Neudorf i Brüderthal. Mały parowiec utrzymuje komunikację pomiędzy Joinville a przystanią morską w Sao Francisco, w której zatrzymują się parowce brazylijskiego Lloyda.

Na południe od Itapocù zaczynają się już nowe kolonie rządowe polskie, należące do okręgu Blumenau.

O jeden dzień drogi konnej, na południe od ujścia rzeki Itapocù, leży ujście rzeki Itajahy, będącej jedną z największych arteryj komunikacyjnych prowincji S. Catharina.

Przy ujściu leży miasto portowe Itajahy. Po za wąskim pasem płaskiego, piaszczystego wybrzeża, piętrzą się niewysokie, podzwrotnikowym lasem porośłe wzgórza, okalające dolinę rzeki i coraz wyższe w miarę zbliżania się do grzbietu gór Serra do Mar.

Itajahy prowadzi znaczny handel deskami cedrowymi (*Cedrela odorata*), dowożonymi z okolic Blumenau.

Dolina Itajahy, głęboka, okolona wysokimi górami, posiada liczne rozgałęzienia boczne, w których założono kolonie rolnicze.

Miasto Blumenau liczy 20.000 mieszkańców, wyłącznie Niemców; wszystkie kolonie bliżej miasta położone, są również niemieckie, założone przez towarzystwo hamburskie. Obecnie rząd federacyjny dalszą kolonizację prowadzi sam w ten sposób, iż przedłuża w głąb gór istniejące już niemieckie linie kolonjalne, tak, iż nowe osady polskie leżą wszystkie wyżej i dalej od miasta, aniżeli dawne niemieckie. Niektóre z nich nawet przekroczyły grzbiety gór dzielących dorzecza Itajahy i Itapocù, jak np. Massaranduba, największa z osad polskich, licząca 800 rodzin.

Nazwy kolonii polskich w okręgu Blumenau są następujące: Garcia (kilkanaście rodzin), Warnów (60 rodzin), gmina Benedicto, złożona z kolonii S. Maria i innych (razem 300 rodzin); Rio Ceder (50 rodzin); Rio Pedrinho (60 rodzin), Rio Adda (400 rodzin) i Massaranduba (800 rodzin).

Administracja jest w ogóle dość niedołązną na dalszych kolonjach, zwłaszcza często zapasy żywności niewystarczające, wypłaty mocno spóźnione. Stan kolonii jednak w ogóle niezły, dzięki mniej wygórowanym, aniżeli w Paranie, cenom artykułów spożywczych. Natomiast żalą się wychodźcy na brak zarobku i w ostatnich czasach gromadnie przechodzą do Parany, znaj-

dując zatrudnienie przy budowie kolei, lub idąc na kolonje nad Y-guassu i Rio Negro.

Ceny żywności są :

Słoniny 1 kilogr.	800 reis.
1 litr mąki kukurudzianej ..	100 „
1 litr feijao	200 „
cukru 1 kilo	320 „
ryżu 1 kilo	340 „
litr mąki manjokowej . . .	680 „

O 40 kilometrów na Pd. W. od Itajahy, w nizkiej, otwartej i gorącej dolinie rzeczki Brusque, leży kolonja tegoż imienia, porządne miasteczko o 3.000 mieszkańców, — Niemców i Włochów. Kolonja ta interesuje nas o tyle, iż z niej to przed 20 laty wyszli pierwsi koloniści polscy do Curitiby. Obecnie polaków tutaj niema.

Indjanie leśni w prowincji S. Catharina należą do szczepów najbardziej wojowniczych w Brazylii — czemu się dziwić zresztą trudno, jeśli się zważy, iż zamiast ich przygarnąć i ucywilizować, jak to uczynił sąsiedni Paragwaj z plemionami Guarani, toczy się z nimi walkę nieubłaganą, polując na „bugrów“ jak na dzikie zwierzęta. Istnieją nawet myśliwcy, t. zw. „bugreros“, których specjalnością, jest polowanie na indjan.

Nazwy „bugros“ i „botocudos“ obie są portugalskie i stosują się bez różnicy do wszelkich szczepów niepodległych, używających ozdób drewnianych w dolnej wardze (botoque). Sami nazywają się tamtejsi indjanie „Tupis“ lub „Tupi-nambus“, a z budowy czaszki swojej należą do *dolichocephalów*, tak samo jak stepowi indjanie Argentyny (*indios pampas*), gdy natomiast typ paragwajskich *guarani* jest wybitnie mongolski — krótkogłowy.

Do cech szczepów leśnych nad Y-guassu, podobnych z typu swego do indjan północno amerykańskich należą: czoło wysokie, wydatne policzki, nos orli lub prosty, o szeroko rozwartych nozdrzach. Chodzą zazwyczaj zupełnie nago, strój uroczysty natomiast składa się z korony z piór papuzich w kształcie słońca lub z czapki futrzanej z jaskrawym pióropuszem, naszyjnika z kłów dzika lub kopyt tapira i rodzaju fartuszek z frendzlami, plecionego misternie z włókien roślinnych.

Broń ich stanowi łuk prosty, długi na dwa metry, którego jedna strona jest płaską, okręcony spiralnie w bardzo zgrabny sposób cienką tasiemką z jakiejś ljanya wyrobioną. Końce łuku

są mało zwięzione, cięciwa z włókien roślinnych. Strzały są równej z łukiem długości, wyrobione z równiutkiej i cienkiej trzciny, malowanej ochrą w rozmaite zębate wzory. Dwa pióra na $\frac{1}{2}$ metra długie z orla, tukana lub papugi są cienkim szpagatem w ten sposób do trzona strzały przymocowane, iż tworzą śrubę Archimedesą — dzięki czemu strzała w locie wiruje jak kula ze sztućca, a strzał zyskuje na celności. Ostrze tworzy kawałek zaostrojonej kości lub trzciny. Od p. Zaporskiego otrzymałem nadto włócznię o żelaznem ostrzu. Jest ona krótszą nieco od strzał, trzcina jej nieco grubsza, opatrzona piórami jak strzały, a ostrze szerokie lancetowate, płaskie, jest 1 cal szerokie a 4 cale długie.

Plemiona *Tupi* nie są koczowniczymi, posiadają bowiem, tak samo jak Guarani, wśród lasów swoje osady, złożone z wielkiego szałasu, w których się mieści razem całe pokolenie i gdzie sadzą trochę manjoku.

Do osad tych trafić nie łatwo — wszystkie bowiem ścieżki do nich prowadzące są bardzo umiejętnie zamaskowane, i całkowicie niedostrzegalne dla obcych. Nadto, na ścieżkach tych pełno pułapek, w które wpaść każdy nieuprzedzony musi.

W najgęstszym lesie indjanin porusza się ze swobodą leśnego zwierza, gdy biały ani kroku naprzód bez pomocy kordelasa nie zrobi; ciemna ich barwa chroni przed okiem wroga. Indjanin w lesie jest panem — jeśli wszakże uda się prześladowcom wyprzeć ich na otwartą polanę — tracą całkowicie pewność siebie, jak zwierz w klatce, i wówczas jeden strzelec może wymordować całą gromadę jednego po drugim, bez oporu lub usiłowania ucieczki z ich strony. Wiedzą o tem dobrze „bugreros“ i korzystają niejednokrotnie z tej bezradności dzikich na otwartem polu.

Indjanie żywią się produktami myśliwstwa i owocami araukarji. Niekiedy przedsiębiorą wyprawy wojenne na osady białych, a wówczas starają się uprowadzić jak najwięcej bydła. O ludożerstwie pomiędzy nimi nie zdarzyło mi się słyszeć wiarogodnych danych. Broni zatrutej nie używają w walce.

*

*

*

24. września opuszczam Paranagua na parowcu „Rio Negro“, najmniejszym, najbrudniejszym i najpowolniejszym ze statków brazylijskiego Lloyda, a tak niemiłosiernie trzęsącym, że wcale pisać nie mogę w salonie. Zaznaczam przy sposobności, iż tym samym statkiem przybyła do Paranagua ostatnia już partja polaków z Pinheiro, a jednocześnie z nimi kilkanaście rodzin z Opoczyńskiego, które przybyły na koszt własny, płacąc po 240 rubli od rodziny. Namówił ich do wyjazdu jeden z powróconych przez ks. Chełmickiego emigrantów.

Wybrzeże ładu posiada wciąż ten sam charakter, co na przestrzeni od Bahia dotąd: wysokie góry granitowe, dochodzące częstokroć do samego morza, do szczytów gęstym lasem podzwrotnikowym porośłe. Ryzoforowe bagna kończą się na południe od Paranagua.

Nazajutrz zrana zawijamy do przystani w Sao Francisco. Niemieckie, dość schludne miasteczko, z panującą nad niem białą wieżycą kościoła, przykrytą półkulistą kopułą, leży na brzegu niewielkiej zatoki, okolonej zewsząd zielonemi górami. Dzikie wycie dwóch parowców, przybijających jednocześnie, rozlega się donośnem echem pomiędzy skałami; w pobliżu okrętu igra stado wielkich białych delfinów.

Stoimy krótko, dla wysadzenia kilkunastu Niemców, udających się do Joinville.

Po kilku godzinach jazdy stajemy wieczorem w Itajaí, drugim portowem miasteczku, położonem na płaskim, piaszczystem wybrzeżu.

Wejścia do obszernej i spokojnej przystani broni długa i prosta ławica piaszczysta, bardzo niebezpieczna dla żeglugi, którą tylko statki bardzo płytko w wodzie zanurzone i posiadające bardzo silną maszynę w czas cokolwiek niespokojny przebywać mogą. „Rio Negro“ do liczby tych niewielu należy, co nie jest drobnostką dla wysiadających tutaj pasażerów, na otwartem bowiem morzu fala jest z powodu sąsiedztwa rafy zawsze bardzo silną, a wskakiwanie w warunkach podobnych do łódki wymaga prawdziwie akrobatycznych zdolności.

O północy tego samego dnia osiadamy na mieliźnie przy wejściu do kanału, dzielącego wyspę Desterro (Wygnanie) od stałego ładu. Dopiero nad ranem możemy ruszyć dalej. O godzinie 6-ej, gdy mgła się podniosła, prześlizczna odkrywa się przed oczami naszymi panorama. Powierzchnia kanału, zamknię-

tęgo wąskimi cieśninami od północy i południa, gładka jak lustro, w którym się odbijają ostro kontury statków, stojących na kotwicy; na prawo — dziki krajobraz górski, poszarpane szczyty granitowe, czarne, ponure, ginące w chmurach, przysłonięte lekką mgłą białych obłoczków, przesuwających się po stokach lub wznoszących pionowo, jak dymy kominów z głębi lesistych wąwozów. Na lewo, również górzysta, lecz ludna wyspa, usiana mnóstwem domków wiejskich, grupami kokosów, bananów, jasno-zielonemi płatami plantacyj trzciny cukrowej, a brzegi najeżone nagimi, czarnymi skałami granitu.

Wprost nas, na północnym cyplu wyspy, wznosi się nad zatoką półkolistym amfiteatrem spore miasto o południowej architekturze, z wieżycami kościołów o okrągłych kopułach, bielejącymi w słońcu, ocienione palmami. Nad miastem od północy panuje złowieszcze „memento“: bardzo ładny, ale też i bardzo zapełniony cmentarz, ocieniony szpalerem palm i cyprysów. Cmentarz ten, na kilkunastotysięczne miasto stanowczo za wielki, jest wskazówką niezdrowego klimatu. Sta Catharina v. Desterro jest dotychczas jeszcze miejscem wygnania dla politycznych przestępców.

W mieście mieszka kilkuset polaków, wyłącznie rzemieślników. Wszyscy znaleźli dość korzystne zatrudnienie.

Brzeg stałego lądu odrazu wznosi się bardzo stromo, tylko w północnej części cieśniny, oddzielającej wyspę, istnieje przestrzeń dostępniejsza; od połowy długości kanału ku południowi ciągnie się dzika, leśna, skalista i niedostępna okolica, prawie wcale nie zamieszkała, aż do ujścia rzeki Tubarao przy miasteczku Laguna, gdzie znowu spotykamy nowe kolonje polskie, ogółem około 1000 ludzi liczące: Cocal, Cresciuma, N. Orleans. Wszystkie trzy leżą w gorącym pasie pomorskim, w pobliżu lokalnej linji kolejowej.

Z miejscowości tej dochodzą wciąż wiadomości o buntach emigrantów z powodu braku żywności i nieregularnych wypłat za roboczną rządową. Dzienniki prowincjonalne karzą ostro postępowanie rządu, który zamiast żywności i pieniędzy, posyła na uśmierzenie kolonistów bagnety i batogi. Świeżo właśnie przed moim przybyciem oddział wojska, wysłany na poskromienie buntowników, odmówił posłuszeństwa, a oficerowie, oburzeni narzuconem sobie rzemiosłem katów morzonej głodem ludności, po powrocie do Desterro przyczynili się najbardziej do poruszenia opinji publicznej na korzyść emigrantów.

Region górzysty i leśny ciągnie się bez przerwy aż do szerokości Porto Allegre w prowincji Rio Grande do Sul, mniej więcej do linii kolei, łączącej Porto Allegre i Uruguayana. Kolonje rolnicze w okolicy Porto Allegre leżą wszystkie wśród gór i lasów.

Nazajutrz po odejście z Desterro napróżno szukam gór, do których od chwili ujrzenia lądu brazylijskiego oko moje przywykło: płaski jak stół step zielony rozściela się na widnokręgu, gdzieś tylko szczupłą kępą drzew urozmaicony.

Jesteśmy już w prowincji Rio Grande do Sul, posiadającej cechy argentyńskich pampasów. Olbrzymia ława piasku ciągnie się od północnych granic prowincji aż do miasta Rio Grande, oddzielając od morza obszerny liman — Lagoa dos Patos, do którego wpada od północy rzeka Rio Grande. Liman ten dostępnym jest, i to z trudnością, jedynie od południa; to też statki, idące z Rio Janeiro do Porto Allegre i Pelotas, muszą dwa dni drogi nakładać, niemając bezpośredniego dostępu od strony oceanu, lecz zmuszone całą dobę płynąć limanem. Przed ławą, zamykającą wejście do limanu, stajemy w nocy dnia 27. września, podziwiając nadzwyczaj silną fosforescencję morza. Za statkiem świeci szeroka mleczno biała smuga, grzbiety fal migają jak błędne ogniki; stado ryb, uciekające przed statkiem, wygląda jak pęk rakiet w wodzie puszczonej, a mleczno-biała świecąca smuga, pryskająca snopami iskier, znaczy linię rafy, zamykającej nam wejście do portu. Nad ranem przebywamy szczęśliwie ławicę, pozostawiając na prawo małe miasteczko, do połowy zasypane przez lotne piaski — miasto dawniejsze, przeniesione później na ląd stały — i stajemy w przystani Rio Grande do Sul. Przystań, dla wiatrów zewsząd otwarta, należy do najgorszych, zwłaszcza iż morze w tych szerokościach rzadko bywa spokojnem. Doświadczamy tego, przebywając łodzią krótką przestrzeń, dzielącą nas od brzegu. Miasto, liczące około 10.000 mieszkańców, jest czysto portugalskiem, nie tylko pod względem języka, lecz typu mieszkańców, architektury domów i gmachów publicznych, widocznie kopjowanych z Lizbony. Tylko mało-wniecne położenie Lizbony naśladować się nie dało. Miasto leży na zupełnej płaszczyźnie, wśród słonych bagien nadmorskich, a dalsze ulice i place, nawet pomimo panującej od dość długiego czasu suszy, są trudne do przebycia, z powodu olbrzymich kałuż

i grzęskiego błota. Roślinność drzewna, nadzwyczaj uboga i z wielkim wychowana mozołem, składa się z eukaliptów, skarłowaciałej włoskiej sosny, wierzby amerykańskiej, mimozy, cyprysów, brzoskwiń i kilku palm; dalej trochę kaktusów, agawy i wina. W środku miasta leży dość ładny skwer, z brzydkim obeliskiem w środku, będącym nieudolnym naśladowaniem pomnika niepodległości w Buenos-Ayres; u góry postać republiki we frygijskiej czapce, u dołu napis: *19 de Mayo, 18 Setembro 1889*; niżej: *libertade, egalidade, fraternidade, humanidade*. Na przekór portugalskiemu wyglądowi miasta, słyszy się nieustannie język hiszpański, a sympatje ludności wcale nie dwuznacznie ku południowi się zwracają.

Murzynów wszędzie pełno. Dziwne to robi wrażenie po dwumiesięcznym pobycie w czysto europejskich kolonjach. Na jednym z pustych, pełnych kałuż placów miejskich, gromada czarnych praczek suszy bieliznę wypraną na ziemi, dając wymowny dowód, jak małym jest ruch w tej okolicy. Uderza jeszcze u ludności pewien szczegół, nieznany gdzieindziej, a tym jest zamięłowanie u rybaków do czerwonego koloru: ubierają się wszyscy niemal w grube kurty i długie portugalskie kółpaki jaskrawo ponsowej barwy.

Na targowisku miejskiem, wśród stosów pomarańcz przechadza się z powagą oswojony struś (*Rhea americana*), ulubieniec czarnych przekupek i targowej publiczności.

Przyzwyczajwszy się szukać wszędzie wychodźców polskich, udają się i tutaj do hotelu emigracyjnego: w brudnej izbie wszakże tem mianem ochrzczonej zastają samych włochów i hiszpanów. Polaków wysyłają do Porto Allegre i Pelotas, lub też na granicę urugwajską w góry Serra do Herval.

Wiadomości, jakie od uciekających z Porto Allegre (Porta Grela u polaków) wychodźców dochodzą są wogóle niepomysłne, choć w znacznej mierze przesadzone, o ile dotyczą nie pełnego rozpaczy położenia w barakach emigranckich, lecz stanu samychże kolonij.

Tak samo, jak w okolicy Curitiby i Sao Bento istnieją tutaj pośród licznych i pomyślnie rozwijających się osad niemieckich i włoskich, także kolonje polskie dawniejsze, datujące z okresu przed gorączkową brazylijską emigracją, których stan wogóle jest pomyślny. Nowi emigranci znaleźli się tutaj w tem samym położeniu, co w S. Catharina, t. j. zastali najlepsze, naj-

bliżej miasta i kolei położone miejscowości zajęte przez kolonje niemieckie i zostali przeważnie wysiedleni w głąb gór, ku północy, w stronę granicy stanu Parana, Missyj argentyjskich i Paragwaju. Tą też drogą niektóre rodziny do tej ostatniej republiki na kolonje rządowe się dostały.

O stanie wychodźstwa polskiego w prowincji Rio Grande do Sul posiadamy wiadomości bardzo wogóle szczupłe. Wiadomo tylko, że Porto Allegre było miejscowością dlań fatalną, prawdziwym cmentarzyskiem polskim, gdzie dzieci zwłaszcza wymierały gromadnie. Ci, co wytrzymali piekło domów emigracyjnych i dostali się wreszcie na kolonje, mają się nie źle, jak wnosić można z listu p. Mirosława Busse z dnia 1. grudnia 1892, ogłoszonego w 9 numerze „Gazety polskiej w Brazylii“, nie odznaczającej się bynajmniej optymizmem w ocenie stosunków brazylijskiej emigracji. W korespondencji tej, pisanej z *Caxias* (na północ od Porto Allegre) jednej z kresowych kolonij górskich, czytamy pomiędzy innemi co następuje: „Kolonje włoskie, których tu jest mnóstwo, i coraz nowi przybywają, mają się dobrze. Co do Polaków, to mogę zapewnić, iż niema tu ani jednego kolonisty, któryby musiał *fiżonem* (czarny szablak) się żywić, każdy ma już swoją mąkę i swoją słoninę, a prawie każdy konia i krowę. Wielu też już nie chodzi na drogi wcale pracować, choć ich płacą po 1500 reis dziennie a na akord do 3000 reis zarobić mogą“.

Następuje uzalenie się na nieustanne burdy polityczne, których prowincja jest widownią, oraz na brak księdza polskiego, „bo do „italjańskiego kościoła nasi chodzić nie chcą, powiadając że to nie katolicy, ale masony!“

Nie mogąc osobiście zwiedzić rozrzuconych po całym obszarze ogromnej prowincji kolonij, udałem się z prośbą o szczegółowy o ile można obraz wychodźstwa polskiego tutejszego do p. Klemensa Wallana, delegata towarzystwa św. Rafała w Porto Allegre, do którego miałem list polecający od generalnego sekretarza towarzystwa, członka pruskiej izby panów p. Cahenzli. List p. Wallan podaję bez komentarzy w dosłownym przekładzie, dodając tylko, iż wiadomości otrzymane w konsulacie rosyjskim w Buenos Aires od ministra pełnomocnego Rossji p. Bogdanowa, zgadzają się z informacjami w liście tym zawartemi.

„Liczba wychodźców polskich, w przeciagu ubiegłego i bieżącego roku przybyłych, wynosi 12.500. Z tych około 1000

„odesłano z powrotem do Rio Janeiro. Pozostałych wysłano na
„grunta rządowe dla nich przeznaczone, utworzywszy z nich
„10 nowych osad polskich.

„Temi są: Mariano Pimentel, Barao de Triumpho i Feli-
„ciano w górach Serra do Herval, S. Marco, Antonio Prado
„i Alfredo Chaves w okręgu Canoas, Jaguary i Juhy w górach
„Serra do Sao Martinho, Sao Antonio da Patrulha i S. Angelo*).
„Nadto dawniej osiedleni są Polacy w kolonjach: Silveira Mar-
„tins koło Santa Maria i w kolonjach u źródeł rzeki Rio dos
„Antes: Soledade, Dona Izabel, Conde d'Eu i Caxias.

„U tutejszych *fazendeiros* nikt z wychodźców zajęcia nie
„znalazł, nie będąc zdatnym do robót, wymaganych przy hodowli
„bydła na stepie; tak samo nie starali się oni wcale o zajęcie
„jako wyrobnicy lub służący w mieście. Wszyscy, którzy się
„zdecydowali poświęcić rolnictwu, zostali wysłani do kolonij,
„gdzie otrzymują 80.000 *braças* kwadratowych gruntu (1 *braça*
„□ = 4, 8 □ metra), czyli około 40 hektarów, narzędzia, dom
„etc., z obowiązkiem spłacenia sumy 300 milreisów w przeciągu
„pięciu lat ratami. Grunta prywatne sprzedają się tu znacznie
„drożej: 800—4.000 milreisów za kolonję 40 hektarową, przytem
„z warunkiem zapłacenia zaliczki gotówką z góry. Grunta te
„dla niezamożnych kolonistów są niedostępne, ponieważ właścici-
„ciele żadnej im zresztą nie udzielają pomocy. Wysoka cena
„jest skutkiem korzystniejszego położenia w bardziej dostępnych
„miejscowościach.

„Dotychczas wszystkie koleje zakładano w lesie, którego
„gleba jest znacznie żyzniejszą od stepowej; rzadziej na gruncie
„mieszanym.

„Wychodźcom tutaj przybyłym pozostawiono zupełną swo-
„bodę wyboru zatrudnienia, tylko, w razie gdy nie chcieli się
„udać na kolonje rządowe, rząd odmawiał im wszelkiej dalszej
„pomocy ze swej strony.

„Po przybyciu emigrantów pomieszczano w „hotelu emi-
„grantów“. Hotel podobny do grudnia 1890 roku mieścił się
„w Porto Allegre, i składał z kilku sal, niewystarczających na
„pomieszczenie napływających tłumów. Chcąc zapobiedz natłó-

*) Wszystkich tych miejscowości z wyjątkiem Serra do Herval na
szczegółowej mapie kolonij niemieckich nie mogłem odnaleść.

„kowi, wystawiono już w styczniu 1891 obszerny barak w Chry-
„stal, o 2 godziny drogi za miastem, w którym często po 1.500
„przeszło osób na raz się mieściło. Pod względem zdrowotnym
„stosunki były bardzo smutne: dzieci wymarły prawie wszystkie,
„a i wielu dorosłych, zwłaszcza słabszej budowy, chorowało na
„tyfus i cholerynę. Od stycznia do października 1891 umarło
„w Porto Allegre 600—800 emigrantów. Powody tej przeraża-
„jącej śmiertelności leżą w nagłej zmianie klimatu, niezwykłych
„upałach letnich, natłoczeniu zbyt wielkiej liczby ludzi w ciasnym
„pomieszczeniu, wreszcie w niechlujstwie samych emigrantów,
„pogorszającym jeszcze stan rzeczy. Wszystkie przyczyny po-
„wyższe nie działałyby jeszcze tak zgubnie, gdyby ludzi wysy-
„łano zaraz po przybyciu na kolonje wgląb kraju. Tymczasem
„pozostają oni w mieście bez potrzeby 4—5 tygodni.

„Żywność otrzymują zawsze zdrową i posilną, złożoną prze-
„ważnie ze świeżego mięsa i pszennego chleba.

„Wychodźców, udających się na kolonje, odprowadzają na
„miejsce partjami pod dowództwem urzędników. Otrzymują oni
„na kolejach i statkach przejazd bezpłatny; wewnątrz kraju
„przewożą ich na furach, a na złych drogach konno — silniejsi
„muszą iść pieszo.

„Po przybyciu na kolonję emigranci pozostają przez kilka
„miesięcy w barakach, zanim grunta im zostaną wymierzone,
„domki wybudowane i drogi ukończone. Na żywność dostają
„kwity (*vale*), odpowiadające wartości zarobku za dnię pracy,
„spędzone przy rządowej robociznie na drogach. Kwity owe
„kupcy żywności przyjmują, przedstawiając w końcu miesiąca
„urzędowi kolonizacyjnemu do wypłaty. Kupcy z początku sta-
„wiali bardzo wygórowane ceny, wskutek czego ubodzy koloniści
„wyżywić się nie mogli. Zarząd kolonji usiłuje usunąć tę stronę
„ujemną, bądźznaczając maksymalne taksy artykułów żywności,
„obowiązujące dla kupców, bądź też wytwarzając niższe ceny
„drogą konkurencji kilku sklepikarzy. Wielu kolonistów, zrażo-
„nych niemożliwością zarobienia na życie, opuściło swoje grunta
„i powróciło do baraków w Chrystal, skąd odesłano ich do
„Rio Janeiro *).

*) Rozproszyli się oni po całej Brazylii, wyginęli z nędzy lub powrócili do Europy. (p. a.)

„Ci, którzy przybyli tutaj z pewnym zasobem pieniężnym, nie odznaczali się oszczędnością i później niedostatek znosić musieli. Ci zaś, którzy przebyli pierwszy ogień od razu biorąc się do pracy, są dzisiaj zadowoleni z posiadania kawałka żyznej gleby, dającego im pewność, przy odrobinie cierpliwości i pracy, zapewnienia w niedalekiej przyszłości sobie i rodzinie swojej skromnego, lecz niezależnego bytu.

„Niestety jednak jakoś zeszlorocznych przybyszów polskich jest w ogóle niżej średniej; wielu z nich mniema, że w Brazylii złoto na ulicach bez pracy zgarniać można, a ci właśnie są najbardziej wymagającymi. Ludzie, którym ja sam dostarczyłem zajęcia w fabrykach, porzucili je po 8—14 dniach, żaląc się na niedostateczną płacę, żywność, pracę ciężką etc...., gdy w tych samych fabrykach robotnicy innych narodowości byli zadowoleni. W fabrykach płace miesięczne robotników, przy całkowitem utrzymaniu, wynoszą 16—30 milreisów; rzemieślnicy zarabiają 2—5 milreisów dziennie.

„Wielu z tych emigrantów woli żebrać, nawet ludzie młodzi i silni, a przykre wrażenie robi na osiadłego tutaj europejczyka widok zdrowych i silnych ludzi, wałęsających się po ulicach bezczynnie, lub siedzących całymi dniami z wędką na brzegu morza, podczas gdy dziewczęta, kobiety i dzieci, jeśli nie żebrzą — zajmują się zbieraniem odpadków na rynku i placach publicznych.

„Większość wychodźców pochodzi z Królestwa polskiego, z gubernji Warszawskiej, Płockiej i Kaliskiej. Z początku przybywało również wielu poznańczyków z pod Gniezna. Najmniej wychodźców dostarczyła Galicja.

„W hotelu emigranckim w Porto Allegre znajduje się (w październiku 1891 r.) około 1.000 emigrantów polskich, żądających odesłania ich z powrotem do Europy. Rząd prowincjonalny oczekuje w tej mierze rozkazów z Rio Janeiro“.

Wiadomości podane przez p. Wallan'a uzupełnić mogą nieco: oto oprócz wymienionych wyżej zbiegów z kolonji, znaczna partja, złożona z kilkuset osób ze stacji kolei St. Maria przedostała się przez stopy bezludne, żywiąc się mięsem upolowanych wołów, sarn i strusi, do Montevideo i Salto Oriental, gdzie się niemi zaopiekował osiadły tam Dr. Jurkowski. Część ich znalazła zajęcie w warsztatach okrętowych w Salto, część wstąpiła do wojska Urugwajskiego, większość przedostała się do Buenos

Aires i stamtąd bądź powróciła do kraju, bądź rozproszyła się po Argentynie, Chile i Paragwaju.

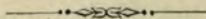
Co do wspomnianych w liście p. Wallan'a 1.000 zbiegów w Porto Allegre, starania rosyjskiego konsulatu w Buenos Aires o uzyskanie od ministerstwa spraw wewnętrznych funduszu na powrót ich do kraju, pozostały bez skutku; podczas późniejszych zamieszek rewolucyjnych w Rio Grande do Sul rozproszyli się za przykładem swoich poprzedników, przyczem mała częśćka dotarła do Curitiby, reszta siedzi w Santos, S. Paulo lub Rio Janeiro, szukając możliwości powrotu do Europy.

Produkta stanu Rio Grande do Sul są następujące: mais (2 zbiory rocznie), fasola, ryż, pszenica, żyto, jęczmień, kartofle (2 zbiory), tytoń, wino, pomarańcze, brzoskwinie, gruszki, jabłka, banany, trzcina cukrowa oraz kilka roślin miejscowych.

Włoskie winnice koło Porto Allegre i Pelotas produkują wyborne wina, wywożone do Rio Janeiro i Sao Paulo. Głównym atoli przedmiotem handlu wywozowego są produkta hodowli bydła: suszone mięso (charqui), słonina i skóry.

W porcie stojmy całe 1½ doby, czekając na pocztę z Porto Allegre i Pelotas, tylko raz jeden na miesiąc odchodząca na południe.

W kilka dni potem połączyłem się w Buenos Aires z towarzyszymi moimi w celu poczynienia przygotowań do wielkiej wyprawy geograficznej przez stępy północnej Patagonii do brzegów Spokojnego Oceanu.



Wszystkie te sprawy są w rękach Państwa i nie mam nic do powiedzenia.

Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia.

Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia.

Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia.

Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia.

Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego nie mam nic do powiedzenia.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 1052



100000000341